Nr 9. Wrzesień 1909. Rok XXVIII.



MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN FRAKCYI REWOLUCYJNEJ POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

TREŚĆ:

KRAKÓW
Z DRUKARNI LUDOWEJ (UL. FILIPA 11).

Nr. 9. Wrzesień 1909 Rok XXVIII.

Przedświt

Droga do władzy — przez rewolucyę[1]).

Każda nowa broszura Kautskiego jest do pewnego stopnia zdarzeniem, tem bardziej praca, mająca streścić i ująć w jedną całość wszystkie wskazania, potrzebne proletaryatowi dla dopięcia celu jego krwawych zapasów — władzy. Niestety, odrazu musimy powiedzieć, że nowy utwór teoretyka socyalizmu niemieckiego wcale kwestyi nie rozstrzyga i odpowiedzi na pytania, zawarte w tytule — nie daje. A raczej usiłuje ją dać, ale czyni to w sposób zupełnie nieokreślony i w gruncie rzeczy niczego nie wyjaśnia. Pomimo tego jest to broszura bardzo ciekawa i pod pewnym względem niezmiernie charakterystyczna.

Znaczną część broszury stanowi parafrazowanie rzeczy, dawno przez tegoż Kautskiego powiedzianych, oraz walka z rewizyonizmem, który dla marksistów niemieckich jest taką samą delenda Carthago, tak samo przy każdej sposobności bywa zwalczany, jak przez nas — esdectwo. Pierwszy rozdział: „Zdobycie władzy politycznej“ — nie mówi nic po nad to, co powiedziane było we wstępie do „Rewolucyi socyalnej“, mianowicie, że zasadniczą cechą wszelkiej rewolucyi jest zdobycie przez nową klasę władzy politycznej. Drugi rozdział jest oryginalny, ale jednocześnie nieco naiwny. Celem jego wykazanie, że przepowiednie socyalistyczne nie są tak nieudane, jak to utrzymują przeciwnicy nasi. Żeby tego dowieść, Kautsky wyszukuje szereg przepowiedni Marksa i Engelsa, które się sprawdziły, tłómaczy zaś inne. Jest to praca dość bezpłodna, by czyż można na seryo wysnuwać jakiekolwiek wnioski z tego, że np. Beblowi wśród kilku tysięcy mów wygłoszonych trafiły się tu i ówdzie niestwierdzone później przez fakty przypuszczenia? Podchwytywanie tego rodzaju drobnostek przez prasę burżuazyjną świadczy tylko o znaczeniu, jakie przywiązywane bywa do odezwań się osiwiałego kierownika partyi niemieckiej. Rozdziały

[1]) Karl Kautsky. „Der Weg zur Macht“. Berlin 1909. Nakładem księgarni „Vorwärts“.

trzeci („Wrastanie w państwo przyszłości“), szósty („Wzrost elementów rewolucyjnych“), siódmy („Łagodzenie przeciwieństw klasowych“), stanowią po części rozwinięcie, na podstawie nowych cyfr, tez z dziełka „Rewolucya socyalna“, po części — wykazują, na jak kruchych podstawach oparte są marzenia rewizyonistów o możliwości harmonii społecznej.

Co zaś ciekawe jest rzeczywiście, to rozdział piąty („Ani rewolucya, ani legalność za wszelką cenę“) oraz dalsze na ten temat wnioski. W ustępie tym Kautsky powtarza przedewszystkiem dosłownie pewien długi swój artykuł z „Neue Zeit“ r. 1893, który był streszczeniem, usystematyzowaniem i uogólnieniem wszystkiego tego, co różni inni towarzysze z Europy zachodniej pisali i mówili w owe czasy oraz poprzednio przeciwko „rewolucyi, pojmowanej w sposób zwykły,“ „gwałtowi, który służy tylko reakcyi“ itp. (str. 44 i nast.).

Artykuł ten zaczyna się od słów, które, zwłaszcza u nas, mnóstwu ludzi przewróciły w głowach, mianowicie: „Socyalna demokracya jest partyą rewolucyjną, ale nie jest partyą, robiącą rewolucye“. Rewolucya „nie jest bowiem rzeczą, którą byśmy dowolnie zrobić mogli, tak samo, jak przeciwnicy nasi nie są w stanie jej zapobiedz“. Wiemy, powiada dalej K. w owym artykule, że przeciwieństwa klasowe zaostrzają się coraz bardziej i że wyjściem ze stanu dzisiejszego może być tylko zdobycie władzy przez proletaryat oraz rewolucya socyalna. Nie mamy jednak żadnych danych, że będzie ona krwawą rewolucyą. Owszem, „według wszelkiego prawdopodobieństwa, w walkach rewolucyjnych proletaryatu środki ucisku ekonomicznego, prawodawczego oraz moralnego przeważać będą nad środkami gwałtu fizycznego, czyli militarnego, w przeciwieństwie do walk rewolucyjnych mieszczaństwa“. Tak samo i dziś, nie mamy żadnej potrzeby uciekać się do gwałtu, łamać legalność. Siła nasza wzrasta z dniem każdym. Wzrasta ona i ujawnia się, dzięki demokratycznym instytucyom, które posiadamy już i rozszerzamy, dzięki zgromadzeniom, organizacyi politycznej i zawodowej, tryumfom wyborczym, prasie itd. Ta nasza siła rozdrażnia coraz bardziej klasy posiadające, ale „z dwóch przeciwników ten, przy równych warunkach, najłatwiej zachowa zimną krew, który czuje, że jest silniejszym“ (46). Zupełnie możliwem jest, iż burżuazya w napadzie wściekłości zechce odebrać nam te prawa polityczne, z których korzystamy. W naszym interesie leży, by to jak najpóźniej nastąpiło, by walka, która się wtedy zacznie, była ostatnią i skoń-

czyła się naszem zwycięstwem. To też te wypadki, gdy proletaryat dał się sprowokować, jak w Ameryce w 1886, w Austryi w 1884, przyniosły mu tylko straty. Im bardziej rośniemy w siłę, tem trudniejszą staje się taktyka nasza, ale ona doprowadzi nas do zwycięstwa.

Tak mówił K. przed laty 16. Zobaczmyż, jak ocenia on sytuacyę teraźniejszą. Dziś, powiada on, stoimy zawsze na tem stanowisku, że ani legalności, ani rewolucyjności za wszelką cenę nie chcemy. Ale stosunki — a one właśnie określają taktykę każdorazową — zmieniły się radykalnie. Oto jego słowa (str. 52):

„W początku dziesiątego lat dziesiątka uznałem, iż przy ówczesnem położeniu najbardziej posunąć może naprzód klasę robotniczą spokojny rozwój organizacyj proletaryackich i proletaryackiej walki klasowej, na danej państwowej podstawie. Nie można mi więc będzie zarzucić, że chcę upajać się rewolucyą i radykalizmem, jeżeli zbadanie dzisiejszego położenia doprowadza mnie do poglądu, że stosunki od tego czasu gruntownie się zmieniły, że wstępujemy obecnie w okres walk o instytucye państwowe i o władzę w państwie, walk, które ciągnąć się mogą wśród zmiennych okoliczności i dziesiątki lat, których form i trwałości nie możemy przewidzieć, ale które bardzo prawdopodobnie doprowadzą już w przyszłości, dającej się przewidzieć, do wzrostu potęgi proletaryatu na niekorzyść innych klas, jeżeli nie do jego panowania w Europie zachodniej". (Podkreślenia nasze).

Jakież są dane, które pozwalają Kautskiemu przewidywać, że wstąpiliśmy w okres ostrych walk i że nie będzie teraz miejsca na dawną pokojową taktykę? Odpowiedź na to znajdujemy w następnych rozdziałach.

Przedewszystkiem wskazuje on na wzrost sił proletaryatu. Jego organizacye polityczne i zawodowe spotęgowały się do rozmiarów, o jakich dawniej nie marzono, stworzyły sobie cały szereg zrzeszeń pomocniczych (kooperatywy, stowarzyszenia oświatowe itp.). Potem idzie wykaz, na podstawie bogatego materyału statystycznego, na ile wzrósł stosunek procentowy proletaryatu do reszty ludności, miast do wsi, — co daje nam daleko trwalszą niż dawniej podstawę dla wzrostu sił. Jednocześnie zaś rosną przeciwieństwa klasowe: wyższym płacom, zdobywanym przez proletaryat, towarzyszy stałe podnoszenie się kosztów utrzymania, pochłaniające zwyżkę płacy, kapitaliści organizują się, walka ekonomiczna z nimi staje się coraz trudniejszą, rośnie znaczenie ruchu politycznego,

a jednocześnie burżuazya dąży do odebrania posiadanych przez lud praw politycznych.

Co burżuazya może przeciwstawić temu niepowstrzymanemu wzrostowi potęgi socyalizmu i walki klasowej? Jedyną jej ideologią, jedyną nadzieją lepszej przyszłości, którą ona świeci jeszcze w oczy masom, jest imperyalizm. Hasło to w ostatnich czasach przyjęło się nietylko w Anglii, która dała mu nazwę, ale we Francyi, Niemczech, Stanach Zjednoczonych, wszędzie. Wszędzie też widzimy wzrost zbrojeń, nie będący w żadnym stosunku do tego, co się dawniej działo. Ale właśnie imperyalizm stanie się grobem burżuazyi.

Przedewszystkiem wzrost budżetów wojskowych coraz bardziej przerasta siły narodów współczesnych, co łatwo daje się wykazać cyframi. Powtóre, w ostatnich czasach zaszły wypadki, które przyspieszają katastrofę, czyniąc ją nieuniknioną. Mianowicie kapitalizm, przenikając do krajów, dawniej będących tylko rynkiem zbytu dla Europy, zrobił swoje. Wschód przebudził się. Zaczęło się od Japonii, za nią poszły Turcya i Persya, dziś podnoszą głowę Indye, Egipt, Chiny. Widoki zdobycia kolonij przez państwa europejskie znikły, owszem państwa te znalazły konkurentów, którzy groźni im się stają na polu i ekonomicznem i politycznem. Tem objaśnia się niepokój polityczny, który ogarnął świat cały od kilku lat.

„Widzieliśmy, że Europa znajdowała się w ciągłym niepokoju od 1789 do 1871 r., póki burżuazya przemysłowa nie zdobyła sobie wszędzie warunków politycznych, umożliwiających jej szybki rozwój. *Podobny okres stałego niepokoju politycznego nastąpił dla Wschodu od czasu wojny rosyjsko-japońskiej* z r. 1905. Są to narody Azyi wschodniej oraz mahometaństwa, jak niemniej Rosya, które obecnie wkraczają w stosunki, pod wielu względami podobne do tych, które przeżywała burżuazya zachodnio-europejska w końcu XVIII i początku XIX w.“ (str. 96).

I oto wysuwają się obecnie na pierwszy plan i wymagają natychmiastowego załatwienia przeróżne „kwestye“, które dawniej miano nadzieję z czasem kiedyś, powoli rozwiązać, w rodzaju kwestyi bałkańskiej. A rozwiązaniem tych kwestyj może być tylko wojna, wojna światowa.

Proletaryat przeciwny jest wojnie. Ale wzrósł on już na tyle w siły, że nie potrzebuje się wojny obawiać. Nie potrzebuje on też obawiać się „przedwczesnej“ rewolucyi, zaś doświadczenia lat ostatnich wskazują nam, że „wojna

oznacza rewolucyę, która doprowadza do największych zmian w ustosunkowaniu sił“ (str. 97).

Do tego wszystkiego Kautsky dobiera jeszcze jeden element niepewności sytuacyi dzisiejszej: upadek moralny polityków, kuszonych przez olbrzymie bogactwa burżuazyi, przeto sprzedajnych, a nie mających żadnych wyższych celów, jak wogóle dzisiejsze społeczeństwo burżuazyjne.

Książeczka kończy się krótkiem, ostrem wyliczeniem wszystkich przyczyn, stwarzających dzisiejszą niepewną sytuacyę: nieobliczalni są dzisiejsi mężowie stanu, nieobliczalne masy drobnomieszczaństwa, nieobliczalne sploty położenia międzynarodowego, nieobliczalne ludy Wschodu.

Stąd wniosek Kautskiego: każdej chwili możliwa jest wojna, a co za tem idzie — rewolucya, w której proletaryat, przy swej sile dzisiejszej, może i powinien zwyciężyć, a przynajmniej uzyskać wiele. Wniosek, jak widzimy, będący powtórzeniem tego, co my głosimy od 4 lat, stosując to do naszych warunków.

I pod tym względem właśnie charakterystyczny jest głos człowieka, w którym mamy w każdym razie jednego z najbystrzejszych badaczów stosunków dzisiejszych. Głos ten znajduje się w jaskrawem przeciwieństwie z tem, co u nas pod płaszczykiem marksizmu podawane bywa, a co stanowi tylko jego parodyę, lub bezkrytyczne przeżuwanie dziecięcych okresów jego rozwoju.

Dalej Kautsky nie poszedł. Stwierdziwszy, iż rewolucya jest możliwa i bliska, nie uważa on za potrzebne zastanawiać się nad formami, które ona będzie musiała przybrać. Wspomina tylko, iż do dawnych form walki przybył strejk masowy. I to jest bezwątpienia najsłabszą stroną taktyki rewolucyjnej, rozpoczętej od pewnego czasu przez lewe skrzydło socyalizmu europejskiego. Nie odbyła się bowiem jeszcze nigdy rewolucya, w której by ludzie zawczasu nie powiedzieli sobie, że przy pewnych warunkach będą musieli pochwycić za broń i ryzykować swe życie w obronie pewnej idei.

W państwach demokratycznych, jak Francya, Belgia, gdzie w dodatku historya daje bogatą skarbnicę doświadczenia, pouczającego, jak dokonywane były rewolucye (czy przy pomocy władzy państwowej, czy wbrew jej woli), — tam rozpatrywanie form przyszłej walki mniejsze ma zapewne znaczenie. W Niemczech zaś, gdzie proletaryat wszystko jeszcze ma do zdobycia, gdzie lud nie posiada ani tradycyi rządów, ani wspomnień walk, ułatwiających nowe walki, tam przyszłe zwycięstwo proletaryatu jest jeszcze rzeczy-

wiście wielką niewiadomą. Robotnicy niemieccy przez wiele cierpień przejść będą musieli, zanim znajdą odpowiednią drogę. Ale kierunek, w którym oni iść mają, staje się i dla nich jasnym.

Wiosna.

Nocami skrzypka mi brzęczy,
Skrzypeczka moja żałosna,
I sen odgania od czoła,
Skarży się jeno a woła,
Że to na świecie już wiosna,
Już wiosna!

Żali się skrzypka na ścienie,
Że jeszcze luta, zła zima
Grajka w ujęciu swem trzyma,
A tam już niebo zmodrzało,
Ziębiące pierzchły cienie,
A w te rozgłośne strumienie
Jakby się słońca nalało,
Hej, słońca!

I już na świecie radosna,
Urodna taka i młoda
Ożyła wiosna
I w biciu młodych serc dzwoni
Tym mocnym taktem: do broni!
Do broni, bracia! do broni!
Walka nas woła, swoboda,
Wiosna!

. . . .
A ty, nasz grajku — śpiewaku?
Żal cię tak pobił do znaku
Za tymi, których nie stało?
Tak ci ich zgonów widziadło
Na serce dłonie pokładło
I śpiewne struny stargało,
Żeś zapamiętał się w męce?
. . . .
Z ich śmierci życie już rośnie!
Ejże, ty skrzypkę chwyć w ręce
I daj się rozsnuć piosence,
O nowej śpiewaj nam wiośnie,
O wiośnie!

Hej polami, polami,
Rośną łąką, a miedzą,
Przylaskami, drogami,
Gdzie wierzbowe pnie siedzą,
Gdzie tych brzezin jasny liść —
Jak to nasi będą iść,
Jak to nasi będą iść —
Hej!

Czarną nocą, w bór głuchy,
Poprzez piachy, mokradła,
By nie chrzęsnął kierz suchy,
By gałązka nie spadła,
Jako widma, jak duchy,
Pod czerwoną kalin kiść —
Jak to nasi będą iść,
Jak to nasi będą iść —
Hej!

A o zorzy, o zorzy,
O różanym rozświcie,
Gdy się srebrem położy,
Ciężka rosa na życie,
Mocniej łąki tchną wonią,
Krwawiej krzaki się spłonią,
Zadrży szczęściem każdy liść —
Że to nasi będą iść,
Nasi, nasi będą iść
Pod bronią!

Kruk.

Przygotowania do powstania 1863 r.

Polska szkoła instruktorów wojskowych.

„Żołnierze! oto obejmuję nad Wami dowództwo, aby Was powieść do boju. Walczyć będziecie wspólnie z bratnim narodem za jego niepodległość. Pójdziecie świętą drogą, pełną dla nas drogich pamiątek“ — te słowa Napoleona III przy wylądowaniu wojsk francuskich w Genui, zwycięstwa pod Magentą i Solferino, rozbudziły nadzieję w tej części społeczeństwa polskiego, która polepszenie losów Ojczyzny nie opierała na reformach wyproszonych u cara, ale wierzyła niezłomnie, że: „niema siły, którąby dwudziestomilionowy na-

ród, węzłem wspólnych swobód złączony, pokonać i ujarzmić była zdolna“. To też, kiedy Towarzystwo rolnicze rozpisywało adresy wiernopoddańcze i za cel reform społecznych uważało oczynszowanie włościan — młodzież akademicka łączyć się zaczęła w tajne stowarzyszenia, marząc o walce na śmierć z najazdem, o wolności, o równości, o braterstwie, o oddaniu włościanom tego, co im przed wiekami nieprawnie wydartem zostało.

W trzy lata później wybuchło powstanie. Wybuchło żywiołowo, nie było doń uczynionych prawie żadnych przygotowań; nie było ani broni, ani ludzi, którzyby ruchowi właściwy nadali kierunek. Dla nas, jako dla jedynej partyi, dążącej do wyzwolenia narodu z więzów ciemiężców, a dążącej jedyną drogą, jaką osiągnąć to można — zbrojnem powstaniem — nieodzownem jest zapoznanie się z błędami, uczynionymi w tym trzyletnim przedpowstaniowym okresie.

Jednem z najsmutniejszych zdarzeń tego czasu jest nieudana próba wykształcenia dostatecznej ilości oficerów. Obowiązkiem naszym jest zapoznanie się z przyczynami, które zagubiły tę pracę, mającą oddać krajowi nieocenione usługi.

W końcu roku 59 przybył do Warszawy były oficer rosyjski, Narcyz Jankowski, który zawiązał stosunki z młodzieżą i zbliżył ją do rewolucyjnych warstw mieszczaństwa. W tym samym czasie Kurzyna, akademik warszawski, zesłany za rozruchy studenckie pod nadzór policyi do Lublina, ucieka do Paryża; przez niego młodzież zawiązuje stosunki z Mierosławskim, na którego wszyscy rewolucyoniści patrzeli jako na wodza przyszłego powstania.

Na obchodzie listopadowym roku 59, w płomiennej mowie do młodzieży, Mierosławski, wykazawszy całą nicość „roboty organicznej“, zapowiada bliskość zbawczego powstania. W rok później, wspólnie z Józefem Wysockim, otwiera w Paryżu szkołę instruktorów polskich. Było to pierwsze jawne wystąpienie zwolenników ruchu zbrojnego. Niewiele o tej szkole da się powiedzieć, albowiem rząd francuski, pod naciskiem rosyjskiej dyplomacyi, w niezadługim czasie nakazał jej rozwiązanie. Przeciwieństwo to nie rozbraja Mierosławskiego. Garibaldi, w przewidywaniu nowej wojny z Austryą, okólnikiem z dnia 19 października 1860 r., wzywa rewolucyonistów cudzoziemskich do utworzenia legionu. Mierosławski chce wykorzystać tę myśl i szkołę paryską przenieść do Włoch. Jedzie więc do Genui i po długich staraniach, za poparciem Garibaldiego, otrzymuje ustne pozwolenie na otwarcie szkoły w Genui, zapewnienie 3.000 lirów miesięcznie na jej utrzymanie i koszary.

Mierosławski, przedstawiciel skrajnych czerwonych, cie-

szył się wielką popularnością u młodzieży. Wysokie jego zdolności wojskowe, płomienna wymowa, niezrażona niepowodzeniami i oszczerstwami czynność polityczna, łączyły się ze skromnością obyczajów i wzorową uczciwością w życiu prywatnem. Zarzucano mu ambicyę, ale ta jego ambicya wymierzoną była zawsze i jedynie do celów narodowych. Po za nim nie było innego naturalnego naczelnika tej pierwszej szkoły wojskowej powstającej Polski. Ideałem społecznym Mierosławskiego było „zcalenie ojczyzn prywatnych w jedną wielką Ojczyznę publiczną“ i głosił, że „zły żołnierz, zły Polak, wódz niegodziwy — kto rozkłada zmartwychwstanie Polski na tempa, kto odosabnia powstanie od przemiany społecznej, kto rezerwie szturmowej każe się zatrzymać na połowie drogi do tryumfu“. A „Polska jest tą rezerwą w dziejach nowych, a kiedy się zerwie biegiem do szturmu, to się nie zatrzyma aż na najwyższem piętrze wyłomu, bo dla rezerwy wszelkiej niema przystanku, niema wytchnienia między pierwszem drgnięciem a metą“.

Pod dobrą wróżbą zawiązała się szkoła, mając pomoc materyalną rządu włoskiego i takiego naczelnika.

Pomocnikiem Mierosławskiego był Józef Wysocki. Na związku tych dwóch mężów kraj pokładał nadzieję powodzenia, gdyż w jego oczach jeden dopełniał drugiego. Spokój Wysockiego hamował nadmierną gorącość Mierosławskiego i, odwrotnie, zbytnią polityczną pobłażliwość pierwszego powstrzymywał stalowy hart drugiego.

Pod koniec września 1861 r. Mierosławski udał się do Genui i, mając około siedemdziesięciu słuchaczy, zaczyna wykłady taktyki, strategii i kosynierki; Englert, były podchorąży z 31 roku, wykłada służbę pieszą; kapitan Cywiński—jazdę; Langiewicz, oficer landwery pruskiej — artyleryę i pyrotechnikę. Wysocki pozostał w Paryżu, aby zachęcać młodzież do wstępowania do szkoły.

Dla użytku szkoły wydane zostały pod dyrekcyą Mierosławskiego i Wysockiego regulaminy piechoty, jazdy i artyleryi ze służbą obozową. Nie różnią się one prawie niczem od używanych podówczas w armiach regularnych, określają nawet porządek parad, chociaż te w powstaniu oczywiście mieć nie mogły miejsca.

Na szczególną uwagę zasługuje ułożony przez Mierosławskiego regulamin „musztry kosyniersko - strzeleckiej“. Jest to pierwsza próba uregulowania jedynej broni, na której powstańcom zbywać nie będzie. Regulamin przyjmuje za niezmienne prawidło mieszanie ludzi opatrzonych tylko w broń sieczną ze strzelcami. Z takich mieszanych oddziałów tworzy się czworoboki, przyjmuje formacyę do ataku i t. d. Zakrzy-

czano Mierosławskiego za jego projekt dodania do uzbrojenia kosynierów opancerzonego tornistra. Próby dowiodły, że od tarcz takich (opartych pod kątem o trzonki od łopat) kule karabinowe rykoszetowały i bardziej racyonalne rozłożenie ciężaru na grzbiet żołnierza wynagradzało lekką nadwagę takiego tornistra. Nie zastosowano tego projektu w praktyce, teoretycznie zaś można równie wiele przytoczyć za, jak i przeciw.

Ogólny pogląd na wybór chwili wybuchu i na to, w jaki sposób walka ma być prowadzoną, wyłożył Mierosławski w swej „Instrukcyi Powstańczej", wydanej w roku 61. Twierdząc, że dla odzyskania niepodległości nieodzownem jest współdziałanie całego narodu, Mierosławski zaznacza, że im bardziej zbliżano się do tej prawdy — tem silniejszemi były drgania powstającej Polski. Z całego obszaru Rzeczypospolitej — konfederacya Barska nie wydobyła więcej nad 15.000 powstańców; rok 92 ze zmniejszonej pierwszym rozbiorem wystawił ich 30.000; Kościuszko, pomimo drugiego rozbioru, miał ich 40.000; a w roku 31 1/8 część obszaru dawnej Rzeczypospolitej wystawiła 80.000 żołnierzy, których męstwo było podziwem Europy. O ile więc przyszłe powstanie będzie rzeczywiście narodowem — to wystawi na pierwszej linii 500.000 żołnierza z takiejże liczby rezerwą. Wyliczenia te nie są przesadzone, skoro zważymy, że w samych wojskach najezdzców znajdowało się w roku 60 przeszło 300.000 Polaków.

Takiej sile, walczącej w swoim kraju, o swoje prawa, żadna koalicya rosyjsko-prusko-austryacka nie podoła, tembardziej, że żaden z najeźdzców nie może „zdjąć jednej nogi z karku innych jeńców dla deptania nas obiema".

Sprzysiężenie przedstawia w każdem województwie i powiecie kandydaturę naczelnika, kandydaturę, którą dopiero udział w samym ruchu zatwierdzi i wyniesie na szczebel hierarchii, odpowiadający zdolnościom i poświęceniu. Naczelnik taki obowiązany jest przed wybuchem zrobić w swym okręgu wywiady według szczegółowego planu podanego w Instrukcyi i ułożyć jasny, krótki plan ruchu, określając go paroma celami; każdy z nich poruczony jest dowódzcy poszczególnego oddziału.

Naczelne dowództwo obejmuje dyktator, przy którym naród stać musi „zbrojno i stoicznie pomimo przygód".

Zarzucano niejednokrotnie Mierosławskiemu, że uznawał jedynie wojnę na wielką skalę. Twierdzenie to jest z gruntu błędne, Mierosławski utrzymywał jedynie, że polską partyzantką Polski się nie odwojuje, że, nie mając wojska, należy je formować. Ale regularne wojsko w pojęciu Mierosławskiego, to nie kolorowi ułani lub piechota o nieskala-

nej białości spodniach, lecz ruch celowy i posłuszeństwo dowódzców oddzielnych oddziałów. Mierosławski nie uznawał partyzantki; jako wojskowy i to nie byle jaki, lepiej od krytykujących go historyków wiedział, że o wojnie na wielką skalę nie można myśleć i dlatego całą swą nadzieję pokładał w tak zwanej „małej wojnie“. Dobrze poprowadzona ludność miast, napadając znienacka, zawładnąć powinna załogą lub też zmusić ją do wycofania się. Tylko w ten sposób, mając w rękach miasta, centry organizacyi jak kraju tak i najazdu, można nadal prowadzić walkę z nadzieją zwycięstwa. Wieś zgromadza cały nabór do oswobodzonych miast powiatowych, skąd, podmusztrowany przez parę dni przez naczelnika powiatowego i rozklasyfikowany na bataliony kosynierów, kompanie strzelców i szwadrony jazdy, wysyłany zostaje do miast wojewódzkich. Tam, po połączeniu oddziałów, skierowany ma być na te miasta powiatowe, któremi sprzysiężeniu nie udało się zawładnąć w chwili wybuchu. O ile samo miasto wojewódzkie nie zostało opanowane, nabór z miast powiatowych koncentruje się do „obozu wojewódzkiego“, upatrzonego jeszcze przed wybuchem powstania i tak położonego, żeby go niecały dzień marszu od miasta oddzielał i aby był możliwie najniedostępniejszym dla wycieczek nieprzyjaciela. Dalej następuje zwięźle wyłożona taktyka bitwy odporno - zaczepnej w obozie powiatowym i wojewódzkim i atak na załogę wojewódzką nieprzyjaciela.

Do Instrukcyi dodana jest organizacya wojska rosyjskiego ze szczegółowem rozmieszczeniem załóg w Królestwie, na Litwie i na Rusi.

Z tego pobieżnego zapoznania się z poglądami Mierosławskiego na walkę zbrojną widzimy, że był on nieprzejednanym przeciwnikiem walki takiej, jaką w roku 33 prowadził Zaliwski, jaką wykładał Sztolcman i jaka następnie miała odbyć się w r. 63. Ogólnem jest u nas pojęcie, że partyzantka i, tak zwana mała wojna — to jedno. Partyzantem jest dla większości każdy powstaniec, co zamiast karabinu ma sztucer, a zamiast butów — łapcie. W rzeczywistości między jednym a drugim sposobem wojowania jest wielka różnica. Mała wojna, tak samo jak i partyzantka, zadawalniać się musi tem, co dany kraj lub prowincya dostarczyć im może— czy to pod względem uzbrojenia, czy też zapasów żywności, odzienia, środków komunikacyi i t. d. Ale kiedy wysiłki pierwszejześrodkowują się w pewnym punkcie, kiedy między oddziałami jest ścisła koordynacya, kiedy ruch każdego z nich dąży do jakiegoś z góry określonego celu, którego osiągnięcie zbliża inne do swoich celów, których znów suma daje cel ostateczny — celem drugiej jest nie dać się rozbić.

Partyzantka 63 r. za cel miała ukrywanie się po lasach i, o ile nadarzała się możliwość, znoszenie mniejszych oddziałów rosyjskich. Taka partyzantka jest tylko niedoczynem małej wojny, bo rozbicie oddziału nieprzyjacielskiego z 200, 500, czy nawet 1.000 ludzi (a takiemi były największe zwycięstwa 64 r.) sytuacyi zupełnie nie zmienia. Rozdrabnianie oddziałów powstańczych powoduje rozdrabnianie armii najezdniczej, która, zalewając cały kraj, nietylko, że uniemożliwia powstaniu wybieranie zeń sił i środków, ale sama je zeń czerpie.

Po za wojskowością, Instrukcya zajmuje się też ekonomiczną częścią powstania, spożytkowując wszystkich rzemieślników, niezdolnych do służby frontowej, jako kompanie rzemieślnicze — a posiadłości ziemskie obywateli i włościan, nie pociągniętych w pole, jako śpichlerze powstania. W ten sposób „bez tak okrzyczanej przez kontrrewolucyonistów rewolucyi społecznej, lecz owszem, restaurując niejako społeczeństwo na korzyść przemysłu powstańczego, każdy rząd powiatowy znajdzie pod ręką elementarną wprawdzie, lecz nieomylną machinę do niewyczerpalnej produkcyi, w granicach niezbędnych potrzeb ludowych i wojennych“.

Takie jednakże usuwanie słów „rewolucya społeczna“, a zastępowanie ich systemem, odpowiadającym im w zupełności — nie mogło podziałać uspakajająco na przeciwników Mierosławskiego. A przeciwnikami jego byli nietylko stronnicy „Hotelu Lambert“ (arystokraci), ale i grupa „Demokraty Polskiego“.

Jeszcze w roku 60, kiedy Mierosławski rozpoczynał układy o przeniesienie szkoły do Włoch, „Demokrata“, zawiadamiając o tem, przepowiada, że wszystko to skończy się na niczem, bo „tak wielkiego błędu, uważając rzecz ze stanowiska dyplomatycznego, gabinet turyński nie popełni“. Prawdopodobnie więc Mierosławski, były głównodowodzący powstaniem sycylijskiem, jedzie „poprostu dla zregularyzowania swego stopnia generalskiego w armii piemonckiej“. Ludzie ci nie mogli zrozumieć, że Mierosławskiemu nie mogło chodzić o coś innego, niż o zysk osobisty. A kiedy ten ofiarowanego mu stopnia generała włoskiego nie przyjął i, w nagrodę za krew przelaną na okopach Catany, żądał jedynie pozwolenia na otwarcie szkoły, generał Rybiński, w liście do Garibaldiego, zaprotestował przeciwko temu, że Mierosławski „podporucznik wojsk polskich“, zakładając szkołę, wydawać się może jako przedstawiciel narodu.

Więc gdyby Mierosławski przyjął był stopień, ofiarowany mu w „regularnem“ wojsku włoskiem, jako „rzeczywisty generał“ byłby odpowiedniejszym na przedstawiciela narodu,

ale jako powstańczy generał polski, włoski i badeński, który na potwierdzenie swych zasług miał tylko blizny a nie dyplomy, dla tych ludzi Mierosławski był jedynie podporucznikiem i samozwańcem. Przewidywania jednak „Demokraty“ nie sprawdziły się, szkoła została zorganizowana, więc ataki ustały, choć nie na długo. Już w październiku „Demokrata“ znowu występuje z protestem przeciwko „przywłaszczaniu sobie władzy przez Mierosławskiego, przeciwko bałamuceniu młodzieży i wyprowadzaniu jej z kraju na głód i nędzę“. Takie jednakże „ubolewania nad losem obałamuconej młodzieży“ nie odniosły skutku, gdyż w „Głosie z Paryża i Genui“ sama ona odpiera te zarzuty i występuje w obronie swego komendanta. Ta pierwsza nieudana próba dowiodła, że wysadzenie Mierosławskiego nie będzie rzeczą tak łatwą. Zaczyna się więc przeciw niemu robota podziemna, zaczyna się rozpuszczanie bajek o przybocznej zbrojnej gwardyi naczelnika, nie dopuszczającej nikogo do jego osoby; o jego pysze nadmiernej i t. d.

Tymczasem Warszawa po raz pierwszy demonstruje na ulicy. Zabłocki morduje pod zamkiem bezbronny lud. Powstanie zbrojne ukazuje się coraz szerszym masom, jako jedyne i nieuniknione następstwo tego ocknienia się patryotyzmu i jednocześnie stan wojenny utrudnia propagandę partyi ruchu i biali na całej linii rozpoczynają reakcyę przeciwko wystąpieniu zbrojnemu. Wieści te wraz z rozpuszczanemi na Mierosławskiego oszczerstwami przenikają do Genui i rozpalają głowy młodzieży. Powstaje projekt wyruszenia do kraju legionem i morska wyprawa do Połągi.

Mierosławski, widząc jak mu się kruszy w rękach robota, o której lata całe dla Polski marzył, dla której lata pracował, postanawia zażegnać zło. Część młodzieży nie chce zgodzić się na nowy regulamin, zabraniający wszelkich samowolnych wystąpień, 22 uczniów opuszcza szkołę i nastaje pozorny spokój. Jednak przeciwnicy generała korzystają z tego zdarzenia, aby rozpuszczać nań coraz potworniejsze kalumnie i demagogicznie występować w obronie skrzywdzonej młodzieży. Wysocki i Langiewicz, którym kontrrewolucya błyska przed oczami widokiem samowładnej dyrekcyi, otwarcie występują przeciwko założycielowi. W styczniu 30 uczniów wystosowuje do Wysockiego adres, w którym prosi o niepoddawanie się intrygom kontrrewolucyi i przypomina list jego do Sokolskiego, uznający, że jedynie dzięki Mierosławskiemu szkoła została założoną, i że — „ja go z wielu starymi emigrantami za takiego (naczelnika) uznaję i poddaję się pod jego rozkazy. Jestem więc jedynie jego zastępcą, a jak on

się wyraża „alter ego“ —“. Ale to nie odnosi skutku, Wysocki nie rozumie, że go kontrrewolucya używa do zagubienia szkoły. Mierosławski czyni ostateczną próbę, okólnikiem z dnia 27 lutego zawiadamia że: „wstępując do szkoły, każdy ochotnik poddaje się bezwarunkowo jej ustawom, zabraniając sobie podczas swojego w niej pobytu należenia do jakiegobądź stowarzyszenia, po za szkołą egzystującego“ i że „ustanowioną zostaje w Paryżu komisya pomocnicza“.

Jeżeli błędem Wysockiego było niezrozumienie knowań „Hotelu Lambert“, to może równym błędem Mierosławskiego była próba ustanowienia komisyi zamiast szczerego zwrócenia się do swego byłego współpracownika i przyjaciela i wytłumaczenia mu sytuacyi. Wysocki bowiem na komisyę się nie zgadza, a młodzież, obałamucona demagogią, zamiast uczyć się — dyskutuje. Widząc to, Mierosławski robi wszystko, co człowiek, który jedynie dobro sprawy miał na widoku, zrobić może, zrzeka się naczelnictwa i oddaje je w ręce turyńskiego komitetu polskiego, złożonego z siedmiu oficerów z 31 roku i Włochów: generała Bixio i deputowanego Waleryo.

Na prośbę rządu włoskiego, szkoła została przeniesioną z Genui do Cuneo; zawiadamiając o tem ogół, prezes komitetu, książę M. Lubomirski, dodaje, iż ma nadzieję otrzymania oficyalnego zatwierdzenia szkoły, oraz że pomoc Włoch dostateczną jest na jej utrzymanie, wobec czego uciekanie się do ofiarności kraju byłoby zbyteczne. Nie bacząc na to, Wysocki 22 marca przyjeżdża do Genui, opatrzony listami polecającymi, adresem większości młodzieży i „zaufaniem kraju“. Słabe to podstawy — uznanie otumanionej demagogią młodzieży i „zaufanie kraju“, stwierdzone przez paru magnatów: Władysława Czartoryskiego, Władysława Zamojskiego oraz ich pomocnika S. Gałęzowskiego.

Nie chcąc doprowadzić do skandalu, komitet turyński w końcu kwietnia ustąpił.

„Demokrata“, zawiadamiając radośnie o objęciu przez Wysockiego dyrekcyi szkoły, wyraża nadzieję, że poprowadzi on ją lepiej od swego poprzednika. Radość „Demokraty“ zamąca jedynie to, że część młodzieży (łatwo się domyśleć, o której to części mowa) zamiast oddawać się naukom „traci drogi czas na dysputach im niewłaściwych. Spodziewać się należy, że Komitet Stały Emigracyi Polskiej zaliczy do najpierwszych swych obowiązków zajęcie się głębokie tym ze wszech miar ważnym przedmiotem“. Ale lawiny, którą sami z miejsca ruszyli, zatrzymać już nie mogli; kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. O duchu, panującym w tym okresie w szkole, najlepiej świadczy wspomnienie jednego z uczniów: „Nie można

zataić, że były i wybryki młodzieńcze, co pochodziło od różnorodności żywiołów w niej zespolonych. Było kilka pojedynków na ostre, lecz takie objawy ujmy honorowi nie przynosiły, owszem, zaprawiały do przyszłej wojaczki".

Jeszcze raz szkoła została zreorganizowana. Fijałkowski, dowódca legionu nieśmiertelnych, był komendantem; Czapski, pułkownik z powstania poznańskiego — instruktorem jazdy; oficerowie armii rosyjskiej: Kossakowski — pyrotechniki, Padlewski — artyleryi i strategii; Englert, jak dawniej — pieszej służby; Rogaliński — konnej jazdy, Stankiewicz — fechtunku. Wysocki piastował dyrekcyę honorową z kwaterą w Paryżu.

W ten sposób szkoła przetrwała sześć tygodni. Dnia 19 czerwca minister Ratazzi zwrócił się do Wysockiego z prośbą o rozwiązanie szkoły, w zamian za które Rosya zobowiązywała się uznać niepodległość Włoch. Chcąc osłodzić Polakom pigułkę, rząd włoski ofiarował uczniom i instruktorom odszkodowanie, umożliwiające im wyjazd do Francyi lub Anglii. Niemałem było jednak zdziwienie rządu, kiedy Fijałkowski, w imieniu Wysockiego, zażądał 200.000 lirów. Wobec tak wygórowanych pretensyj, Ratazzi w pierwszej chwili zupełnie odmówił odszkodowania, poczem jednak wypłacił 80 uczniom po 300 lirów, a instruktorom roczne pensye, co wyniosło razem lirów 57.000. Kiedy emigracya i kraj, oburzone podobnym handlem, podniosły pełen wyrzutów głos — Fijałkowski i Wysocki zaczęli wzajemnie zwalać na siebie winę. To jednakże niczego naprawić nie mogło. Polska straciła instytucyę, w której wielkie pokładała nadzieje i która, gdyby nie intrygi drobnopartyjne, oddałaby krajowi nieocenione usługi.

Takim był żywot polskiej szkoły wojskowej i innym być nie mógł.

Podobna instytucya nie może być dziełem międzypartyjnem czy bezpartyjnem. Tak jak każda klasa narodu ma swoje specyalne potrzeby, tak też choć cała dążyć może do niepodległości, to między niepodległością Mierosławskiego, a niepodległością jego przeciwników tak wielka była różnica, iż łatwem było do przewidzenia, że nie pozwolą mu wziąć w ręce wodzów przygotowań do ruchu zbrojnego. Bo oficer powstańczy jest nietylko naczelnikiem swego żołnierza, ale i socyalnym jego wychowawcą; od doboru więc oficerów, od ich wykształcenia, zależeć będzie kierunek ruchu. Wychowaniem więc przyszłych oficerów musi się zająć ta partya, która wierzy, że bez niepodległości niema dla Polski przyszłości, a bez powstania niema niepodległości. Okoliczności

mogą w przyszłości skłonić i inne partye do uznania potrzeby ruchu zbrojnego, ale niech nam zawsze nauką będzie to, że i biali wobec wystąpienia mas uznali byli powstanie, a jednakże w cichości, gdzie mogli i jak mogli, dławili je.

Witold Czerski.

Pierwszy wspólny zjazd młodzieży polskiej.

W r. 1899, czyli równo 10 lat temu, na zjeździe zuryskim Zjednoczenia Młodzieży Polskiej Zagranicą, nastąpił wśród młodzieży rozłam. Utworzyły się tam 2 organizacye: „Związek Młodzieży Postępowej“ oraz „Zjednoczenie“, z których pierwsza znajdowała się pod wpływem socyalistów, druga — narodowych demokratów. I odtąd nie udawały się wszelkie próby nietylko ponownego złączenia młodzieży w jednej organizacyi, ale nawet — zgromadzenia przedstawicieli obu odłamów, choćby dla jednej jakiejś tylko określonej roboty.

Jak podobne doktrynerskie zasklepienie się każdej z grup w swem własnem tylko otoczeniu odbijało się źle na generacyi, która w ciągu ubiegłych lat 10 kończyła wyższe zakłady naukowe, o tem pisaliśmy nieraz. Po wojnie rosyjsko-japońskiej przybyła do tego jeszcze jedna okoliczność. Dawny podział traci powoli racyę bytu i trzyma się dzisiaj tylko dzięki tradycyi oraz pewnym specyficznym przyczynom, sztucznie stworzonym przez ugodową część Narodowej Demokracyi. Pod sztandarem „postępu“ skupiały się dawniej elementy, w ogromnej większości sprzyjające P. P. S., przeto dość jednolite; dziś w obozie tym widzimy przedewszystkiem esdeków, umiarkowańców, pedeków, po części tylko — fraków oraz rewolucyjnych narodowców. I wśród N. D. istnieje rozłam: część ortodoksalna poszła w ślady ugodowców z Koła polskiego, reszta składa się z niepodległościowców demokratycznie usposobionych. Ci ostatni nie potrafili się jednak dotąd wyzwolić z pod opieki swych kolegów, wyznających poglądy oficyalnego przedstawicielstwa partyi i stale są przez nich majoryzowani.

Podział, istniejący dzisiaj, korzystny jest przedewszystkiem dla esdeków oraz endeków z pod znaku Dmowskiego; oba te stronnictwa mogą bowiem — każde na swój sposób — szerzyć ugodę w swem środowisku. Żeby utrwalić taki stan rzeczy, obie strony starają się zaognić antagonizm między

„Związkiem“ a „Zjednoczeniem“. Udawało im się to przez długi czas, aż przyszła kwestya, tak natarczywie domagająca się wspólnego rozpatrzenia, że pękł na chwilę mur chiński.

Szkolnictwo polskie, wywalczone przez proletaryat rewolucyjny, znajduje się dziś w nader ciężkiem położeniu. Zwalcza je rząd rosyjski całym szeregiem środków — od „obcinania“ przy egzaminach maturzystów Polaków do zamykania siłą szkół; przeciwdziałają mu przeróżni rodzice, biadający nad utrudnioną karyerą synków. Widzieliśmy roku ubiegłego koalicyę, powstałą pod hasłem obesłania uniwersytetu warszawskiego, koalicyę „Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego i Litwy“ z ugodowcami. Nie doprowadziła ona do skutku, ale bynajmniej nie złożyła broni. To też potrzeba wyraźnego wypowiedzenia się przeciw wyższym uczelniom rosyjskim odczuwana była przez wszystkich i ona to stała się kitem, łączącym na chwilę odłamy antagonistyczne młodzieży.

Z inicyatywy polskiej młodzieży, studyującej w wyższych zakładach Cesarstwa, utworzył się we Lwowie „Komitet organizacyjny“ dla zwołania wiecu w sprawie bojkotu szkoły rosyjskiej w Królestwie. Rozesłał on zaproszenia do licznych skupień młodzieży. Jednak organizacya, obejmująca przeważnie młodzież endecką (lub uważaną za takową) w Austryi — Ogniwo — odmówiła swego udziału i postanowiła zwołać swój wiec własny. Miały się zatem odbyć dwa zjazdy. Ale po pewnym czasie zdrowy rozsądek zwyciężył, oba komitety porozumiały się i uchwalono odbyć wiec wspólny.

Taka jest historya przygotowań zjazdowych. Zgromadzono się dnia 26 lipca w Zakopanem. Przybyło 229 delegatów, reprezentujących 93 stowarzyszenia, w tej liczbie ze Lwowa 34 stowarzyszenia, z Krakowa 15, z innych miast Galicyi 4, z Królestwa 5, z Cesarstwa 11, z Europy zachodniej 24. Gości dopuszczono na zjazd około 300.

Elementy składowe zjazdu zarysowały się bardzo prędko. Młodzież endecka, lepiej zorganizowana od postępowej, kierowana przez ludzi doświadczonych i zaprawionych na walkach, jakie toczą się szczególniej w Galicyi, rozporządzała większością mandatów, co zaś do liczby delegatów stanowiła mniej więcej połowę zjazdu. Druga połowa, mniej wyposażona w mandaty, była w dodatku podzielona na części. Najliczniejsi byli fracy oraz ich sympatycy, słabszym daleko był oddział lewicowców (umiarkowańców), pochodzących przeważnie z Europy zachodniej, po za tem było paru zaledwo esdeków i dość znaczna ilość tych nowoczesnych „postępowców“, którzy do żadnej partyi nie należą, a po skończeniu zakładu naukowego staną się spokojnymi pedekami.

Dyskusya rozpoczęła się od sporu o mandaty, którego powtarzać tu nie będziemy. Ta sprawa mandatów spornych powtarzać się będzie na każdem wspólnem zejściu się młodzieży, a pochodzi ona stąd, że ogromna ilość studentów należy jednocześnie do paru, nawet kilku stowarzyszeń, o racyonalnej reprezentacyi mowy być zatem nie może, a zwycięża ten, kto jest najlepiej zorganizowany. I tu najlepszem wyjściem byłoby wytworzenie jednej, wspólnej organizacyi, gdyż jedynie ona miałaby możność skontrolowania ilości członków stowarzyszeń, na podstawie faktycznie uiszczonych składek do kasy centralnej.

Przystąpiono do głównego punktu porządku dziennego, mianowicie do sprawy dalszego bojkotu uniwersytetu i politechniki warszawskiej. Wkrótce okazało się, że co do zasady bojkotu panuje prawie zupełna jednomyślność i to jedno wystarcza, by uważać zjazd za objaw bardzo pomyślny. Ugodowcy i esdecy nie potrafili widocznie zniepráwić umysłów i chociaż nie łudzimy się bynajmniej co do przyszłości, jaka oczekuje ogromną większość wiecowników, jednak już ten fakt, że oni oparli się „trzeźwym" podmuchom, oddziaływującym na nich z tyłu stron, wskazuje, że w rzeczywistości apatya i zniechęcenie, nad którem się ciągle biada, nie są bynajmniej powszechne, nawet w sferach mieszczańskich -- a one są przecie środowiskiem, z którego wychodzi większość młodzieży naszej.

Jeżeli jednak widoczną była zgoda co do głównego celu zjazdu, to okazały się zaraz znaczne różnice w sprawie motywowania, dlaczego należy szkołę rosyjską bojkotować.

Narodowi demokraci wnieśli rezolucyę zupełnie bezbarwną, motywującą potrzebę bojkotu przedewszystkiem koniecznością zachowania szkół polskich. Rezolucya ta odpowiadała najzupełniej intencyom oficyalnej N. D., nie zaznaczając związku, jaki istnieje między uzyskaniem szkoły polskiej, a zwycięstwem ruchu rewolucyjnego, prowadzonego obecnie przedewszystkiem przez proletaryat i mającego, obok szkoły polskiej, cały szereg innych celów. Tymczasem związek ten tak jest widoczny, że każdy człowiek, szczerze dążący do szkoły polskiej, musi, będąc logicznym, współczuć jednocześnie całości ruchu rewolucyjnego.

W tej myśli ze sfer młodzieży, sympatyzującej z nami, zgłoszony został następujący wniosek:

„Bojkot szkół rządowych w zaborze rosyjskim jest jednym z przejawów ofiarnej walki społeczeństwa polskiego o wyzwolenie narodowe. Razem z ludem polskim wystąpiła młodzież szkolna, zwalczając uczelnie rosyjskie — instytucye, zatruwające serca narodu, rozsadnik wiedzy fałszowanej dla celów rusyfikacyjnych, katownię duszy, usiłującą wydrzeć z niej wszystko, co polskie, śmiałe i szlachetne.

Reakcya ogólno-rosyjska na terenie naszym, jako na terenie podbitego narodu, przybiera formy najjaskrawsze i dąży do zniszczenia instytucyj nawet kulturalnych, jak Macierz Szkolna, Uniwersytet dla Wszystkich i tyle innych; szykanuje szkoły prywatne, wprowadzając przymusowy wykład wielu przedmiotów w języku rosyjskim; za lada powodem zamyka je, czyniąc z nich igraszkę kaprysów administracyi. Reakcya ta nietylko odbiera odrobinę wolności narodowej i obywatelskiej, która ciężkiemi ofiarami ludu została zdobyta, ale gotuje nowe ciosy, jak zamiar oderwania szmatu ziemi polskiej — Chełmszczyzny — a to wszystko zniszczyło złudne nadzieje na pokojowe i stopniowe uzyskiwanie od caratu ustępstw, odpowiadających naszym potrzebom narodowym i politycznym.

Z powyższych względów Zjazd, solidaryzując się z nieugiętą walką ludu polskiego o polityczne i narodowe wyzwolenie, w dziedzinie swego bezpośredniego działania postanawia prowadzić dalej bojkot wyższych szkół rosyjskich w Królestwie, jako jeden z wyrazów tej walki".

Rezolucya ta obrachowana była na to, by mogły ją przyjąć wszystkie niepodległościowo i prawdziwie demokratycznie nastrojone elementy wśród młodzieży, to jest zarówno nasi sympatycy, jak i rewolucyoniści, nie będący jeszcze socyalistami, ale nie nienawidzący partyi socyalistycznej. Zupełnie odmienną od niej była rezolucya, wniesiona przez lewicowców (umiarkowańców). Wychodząc ze swego założenia, że z upadkiem ruchu rewolucyjnego w Rosyi musi upaść i polski ruch rewolucyjny, nie przywiązują oni żadnej wagi do trwającego wciąż bojkotu szkół rosyjskich i bardziej ich drażnią braki szkół polskich, od faktu narzucania nam uczelni rosyjskich. Nie mogąc zaś otwarcie wystąpić przeciwko bojkotowi (na co nigdy nie zgodziliby się ich właśni mandataryusze), postanowili ten swój sceptycyzm ubrać w szatę rezolucyi za bojkotem, stwierdzającej jednak, że i ruch bojkotowy i ruch rewolucyjny w całem państwie upada i nie ma widoków powodzenia. Rezolucyę tę przytaczamy *in extenso,* jako ciekawy dokument, podkreślając jej bardziej charakterystyczne miejsca.

„Zważywszy, że obecny ruch szkolny w Królestwie jest historycznie i co do istoty swej częścią składową ogólnej rewolucyi w caracie, że przyjął on decydujący i stanowczy charakter wówczas, gdy proletaryat polski łącznie z wieloplemiennym proletaryatem całego państwa rosyjskiego wystąpił do stanowczej walki z absolutyzmem;

zważywszy, że podczas całego dotychczasowego trwania ruchu szkolnego łączność ta ujawniała się niezmiennie, że zrozumienie tej łączności kazało młodzieży przystosować taktykę, formy i tempo swej walki do ogólnej taktyki rewolucyjnej;

zważywszy, że jedynie zwycięstwo rewolucyi zapewnić nam może szkołę polską wolną, świecką, dostępną dla najszerszych warstw narodu;

zważywszy dalej, że, powstała wraz z osłabieniem sił rewolucyjnych i wzmagająca się, reakcya w łonie społeczeństwa

polskiego, objawiająca się w haniebnej polityce Koła Polskiego, jakoteż w dążeniach do nadania piętna wstecznictwa powstającym szkołom polskim — zwycięstwo to odsuwa;

zważywszy wreszcie, że trwająca dotąd, choć osłabiona bardzo walka o szkoły polskie w formie bojkotu szkoły rządowej jest na tle powszechnego przygnębienia i zwątpienia objawem dodatnim, ale przy rozpanoszonej kontrrewolucyi rządowej i w łonie samego społeczeństwa nie ma widoków na bliskie zwycięstwo;

Zjazd wypowiada się za dalszym bojkotem, którego utrzymanie zależy przedewszystkiem od spotęgowania się ruchu rewolucyjnego w caracie i od skutecznej walki z reakcyą w łonie społeczeństwa polskiego — udział społeczeństwa polskiego w tej walce powinien polegać nie na słowach zachęty, lecz na bezpośredniem, czynnem i ofiarnem współdziałaniu z młodzieżą w utrwaleniu i udostępnieniu szkoły polskiej dla jaknajszerszych warstw".

Mówcy nasi wytykali lewicowcom, że ich rezolucya nie jest niczem innem, jak tylko twierdzeniem, że w chwili dzisiejszej bojkot szkolny nie ma żadnych widoków istnienia i że jedyny wniosek, który możnaby z niej wysnuć — to zgodzenie się z losem i zaniechanie walki aż do tej chwili, gdy znowu w całym „caracie" rozpocznie się rewolucya; dalej, że dla młodzieży, dbającej o szkołę polską, ważniejszą jest rewolucya polska, niż rosyjska. Z drugiej strony widocznem się stało, że rezolucya nasza podoba się wielu uczestnikom zjazdu, skądinąd nic z nami wspólnego nie mającym, co nawet odbijało się w przemówieniach. I chociaż fronda endecka reprezentowana była na zjeździe bardzo słabo, jednak kierownicy młodzieży endeckiej zobaczyli, że rezolucya ich nie odpowiada zupełnie chwili. Zaczęły się wtenczas pertraktacye między autorami obu rezolucyj (endeckiej i niepodległościowej), które zakończyły się ułożeniem wniosku kompromisowego, jak zobaczymy, zawierającego wszystkie ważniejsze szczegóły rezolucyi niepodległościowej. Oto jego brzmienie:

„Zważywszy, że walka o szkołę polską jest ściśle związana z walką o wyzwolenie narodu;

Zważywszy, że drogą stopniowych ustępstw żadnych istotnych korzyści narodowych, politycznych i społecznych w obecnych warukach uzyskać w Królestwie nie można;

Zważywszy, że zaniechanie bojkotu w chwili, kiedy postawą całego narodu może być tylko walka z zaborczym rządem rosyjskim, odbiłoby się zgubnie na losach ruchu wolnościowego w Polsce;

Zważywszy wreszcie, że od utrzymania bezwzględnego bojkotu wyższych szkół rządowych w Królestwie zależy istnienie średniego szkolnictwa polskiego;

Zjazd, solidaryzując się z nieugiętą walką ludu polskiego o wyzwolenie narodu, postanawia w dziedzinie swego bezpośredniego działania prowadzić nadal bezwzględny bojkot wyższych szkół rządowych w Królestwie".

Rezolucya ta, wobec nastroju sali miała zapewnione powodzenie. Chcąc jednak, obok oddziaływania na większość, zaznaczyć swoje odrębne stanowisko, grupa młodzieży, sympatyzującej z nami, złożyła następującą deklaracyę:

„Uznając:

iż walka o zdobycie polskiej wolnej szkoły, dostępnej dla najszerszych warstw polskiego ludu pracującego, jest jednym z wybitniejszych przejawów Polskiej Rewolucyi;

iż zdobycie narodowego i demokratycznego szkolnictwa będzie tylko jednym z wyników zwyciężenia naszego ciemiężyciela i wroga, rządu carskiego, przez zdobycie Niepodległości narodowej drogą nieprzejednanej zbrojnej walki rewolucyjnej;

iż zdobycie szkolnictwa polskiego jest jednem z bojowych haseł rewolucyjnego proletaryatu polskiego;

iż zaprzestanie bojkotu byłoby w pierwszym rzędzie zdradą klasy robotniczej polskiej, ofiarnie walczącej dotychczas, oraz zaprzepaszczeniem jej żywotnych interesów kulturalnych;

iż przyczyniłoby się do spotęgowania depresyi i wzmocniłoby ugodowe dążności burżuazyjnych stronnictw polskich;

Uważając, iż dotychczasowe zdobycze na tym terenie walki o wyzwolenie społeczne, polityczne i narodowe są pozycyą szańcową, której opuszczać nie wolno, a którą rewolucyjny lud pracujący polski musi obwarować, by z niej wystąpić do dalszych walk o polską szkołę świecką, ludową i powszechną, uważamy dalsze bojkotowanie szkół rządowych rosyjskich w zaborze rosyjskim za konieczne“.

Przystąpiono do głosowania. Za rezolucyą kompromisową wypowiedziało się 143 delegatów (posiadających 212 mandatów), za rezolucyą umiarkowańców 26 delegatów (33 mandaty), deklaracyę naszą podpisało delegatów 44 (mandatów 55). Wstrzymało się od głosowania 3 delegatów.

Dodać należy, że 2 mówców występowało przeciwko bojkotowi, używając argumentów esdecko-pedeckich. Do jakiego otumanienia doprowadzają podobne teorye pewne jednostki, widać z tego, że jeden z tych mówców usiłował przekonać słuchaczów o wyższości rządowej szkoły rosyjskiej nad polską!

Drugą sprawą na porządku dziennym były wyjazdy do uniwesytetów rosyjskich w Cesarstwie. Tym razem mówcy narodowo-demokratyczni wystąpili z tezą, że wyjazdy te są szkodliwe, ze względu na wpływ, jaki uniwersytety rosyjskie muszą wywierać na młodzież polską. Przeciwko tej zasadzie wystąpił szereg mówców, pochodzących zarówno z uniwersytetów rosyjskich, jak galicyjskich lub zagranicznych. W głosowaniu jednak przyjętą została rezolucya endecka (154 za, 109 przeciw), opiewająca, że nie należy wyjeżdżać na studya do Rosyi, a zdawanie egzaminów w zakładach rosyjskich „dopuszczalne jest jedynie dla osób, będących absolwentami uniwersytetów zagranicznych“.

Na rezolucyę tę zwracamy uwagę towarzyszy naszych, rozproszonych w rosyjskich miastach uniwersyteckich. W każdem z tych miast istnieje bowiem endecka organizacya studencka, ciekawe jest zatem, jak ona odniesie się do powyższej uchwały!

Przeciwko uchwale 101 uczestników zjazdu (123 mandaty) zgłosiło *votum separatum*.

Upadły tak samo dwa wnioski postępowe: jeden, wyrażający protest przeciwko ugodowej polityce Koła polskiego w Dumie, drugi — potępiający znaną serwilistyczną enuncyacyę trzech stronnictw (N. D., P. D. i realiści), złożoną Skałonowi. Upadły one głosami endeków, którzy motywowali swoje zachowanie się tem, że nie należy osłabiać znaczenia zjazdu łączeniem sprawy bojkotu z innemi kwestyami.

Upadek tych wniosków (bardzo nieznaczną większością — za przejściem do porządku dziennego 89 głosów, przeciw — 78 głosów) jest rzeczą bardzo znamienną, do której powrócimy. Endecy musieli bowiem zdawać sobie z tego sprawę, że głosowanie ich będzie im stale wytykane, jako chęć bronienia Koła polskiego, które głosowało za budżetem rosyjskiego ministeryum oświaty, oraz za wnioskiem październikowca von Anrepa, zalecającym rozwijanie w młodzieży szkół rządowych uczuć religijnych i patryotycznych rządowo-rosyjskich — jak to było zaznaczone we wniosku postępowym. To samo tyczy się enuncyacyi stronnictw, która nawet wśród młodzieży endeckiej drobną tylko znajdzie ilość zwolenników. Jeżeli zatem młodzież N. D. zdecydowała się, pomimo wszystkiego, głosować ugodowo, to tylko dlatego, że interesy kierującej nią partyi oraz nakazy jej droższe są dla tej młodzieży od głoszonych ustawicznie haseł patryotycznych.

Pozostawały dwa punkty porządku dziennego: ułatwienie młodzieży studyowania zagranicą oraz pomoc materyalna dla studyujących. Pierwsza z tych spraw załatwiona została pomyślnie. Uchwalono rezolucyę, żądającą przyznania praw słuchaczów zwyczajnych w szkołach wyższych w Austryi abituryentom i abituryentkom prywatnych szkół polskich w Królestwie i rozszerzenia praw młodzieży żeńskiej na uniwersytetach jagiellońskim i lwowskim; postanowiono też, że realizacyą uchwały tej (zawierającej szereg punktów, które pomijamy) ma się zająć komisya, złożona z 4 delegatów zarządu Ogniwa i tyluż Komitetu organizacyjnego lwowskiego. Druga sprawa upadła niestety.

Przyczyna była następująca: narodowi demokraci żądali, by pomoc materyalna udzielana była tylko młodzieży, stu-

dyującej w Galicyi i Europie Zach. i by to zostało formalnie stwierdzone. Postępowcy nie mogli się na to zgodzić. Rzeczy pozostaną zatem po staremu, czyli, że każdy na swoją rękę starać się będzie o uzyskanie zasiłków, potrzebnych na studya.

Na zakończenie powiedzmy, że, chociaż postanowiono nie udzielać głosu osobom, nie będącym delegatami, jednak wyjątkowo dozwolono przemawiać literatom Daniłowskiemu i Sieroszewskiemu, którzy w płomiennych słowach wezwali młodzież do walki o wyzwolenie ojczyzny i do kierowania swych kroków ku szeregom robotniczym i włościańskim.

Uwagi same o zjeździe odkładamy, dla braku miejsca, do następnego numeru.

Napoleon a Polska.

Sądy o Napoleonie Wielkim, tak zmienne, tak ze sobą niezgodne, więcej, niż o sądzonym olbrzymie, mówią o tych, którzy ferowali wyroki. Do rozmiarów kondotyera sprowadził go Taine, najgenialniejszy pamflecista, jakiego burżuazyjna Francya wydała; a czcigodny Korzon z surową zgryźliwością prokuratorską oskarżył Bonapartego o złośliwe nadużycie zaufania, niedotrzymanie zobowiązań i lekkomyślne bankructwo. I nie mogła inaczej osądzić Korsykanina „trzecia Republika" po straszliwem zwycięstwie nad Komuną. Nie mogło mieszczaństwo polskie, wróg zaprzysięgły snów o rycerskiej szpadzie, innego ferować wyroku nad tym, który dał Polsce krwawe, cudne, orężne marzenie...

Czasy się zmieniły. Badania historyczne zarówno Francuzów, jak obcych, wrogich historyków, przywróciły postaci Napoleona jej rozmiary ogromne. Prąd ten znalazł wyraz i w Polsce. Rozpoczęto pracę rozległą w celu zbadania stosunku Cezara Francuzów do Polski. I tutaj wyszła inicyatywa od najbardziej nowoczesnego, najbardziej głębokiego i wszechstronnego badacza naszych dziejów w ciągu dwu ostatnich stuleci — Szymona Askenazego. Mamy od niego szkic, śmiałą, genialną nakreślony ręką, o „Przyczynach wyprawy moskiewskiej". Mamy liczne, o tym mówiące przedmiocie, karty przepięknego dzieła o księciu Józefie. Uczniowie znakomitego historyka — Loret, Skałkowski, Sokolnicki — w szeregu monografij, szkiców, źródłowych publikacyj, przygotowywanych lub ogłoszonych, posunęli silnie naprzód znajomość epoki napoleońskiej. Rozpoczęte wykłady Askenazego o stosunku

Napoleona do Polski każą się spodziewać większego, syntetycznego dzieła. Ostatnie miesiące przyniosły nam doskonałą monografię francuską, napisaną przez polskiego badacza, Marcelego Handelsmana, o pierwszej wojnie polskiej Napoleona i o genezie Księstwa Warszawskiego [1]).

* * *

Był Napoleon dla Polski zjawiskiem innem, niż dla swej przybranej ojczyzny, dla Francyi. Inne tło miała w Polsce napoleońska legenda. Tam był dziedzicem Rewolucyi, mężem, który ugruntował jej najważniejsze zdobycze, uosobieniem zuchwałych snów o potędze, bogiem wojny, tym wreszcie, który rewolucyę francuską uczynił własnością wspólną wielu narodów. Dla Polski był on Rewolucyą uosobioną. Francyę zastał dzień 18 Brumaire'a zagrożoną, ale wolną. Polsce ujarzmionej wolność przyniosły orły napoleońskie. W Polsce własnem dziełem Cezara była odnowa społeczna. Czego nie zdołało przekazać w spuściznie narodowi powstanie Kościuszki, to uczynił podobno w ciągu niecałej godziny obcy wojownik, gdy nie chcąc słuchać projektu deputacyi polskiej, pospiesznie, z pamięci podyktował tekst konstytucyi dla Księstwa Warszawskiego, a w nim wiekopomne, spiżowe słowa „l' esclavage est aboli" [2]). „Zniosłem w Polsce poddaństwo, istniejące od niepamiętnych czasów, to najdroższy wawrzyn z moich zwycięstw" — powtarzał Napoleon radośnie. Bo w chwili tej na drezdeńskim zamku konała dawna, stanowa Polska — rodziła się Polska nowożytna. Więc stał się Napoleon dla pokoleń następnych symbolem naraz odnowy wewnętrznej i wyzwolenia narodowego, stał się sztandarem, stał się ideą samą i mogli wieszcze narodu misyę mu przypisać Chrystusową i mógł mówić Słowacki do popiołów zmarłege Cezara:

„Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnem obliczem,
Jak dziś, wielki! gdy wracasz tu niczem".

* * *

---

[1]) Szymon Askenazy „Dwa Stulecia" i „Książę Józef". — Maciej Loret „Między Jeną a Tylżą". — Adam Skałkowski „O cześć imienia polskiego" i „Supplément à la correspondence de Napoleon". — Handelsman „Napoléon et la Pologne 1806—07".

[2]) Tak przedstawił Wybicki, członek deputacyi, genezę Konstytucyi r. 1807; historycy spółcześni polscy i obcy podali prawdę tej opowieści w wątpliwość; broni jej z dużą siłą argumentacyi p. Handelsman.

Dlaczego Napoleon nie odbudował Polski? Dlaczego w roku 1807, po pogromie Prus, wyzwolił tylko okrojoną pruską dzielnicę? Dlaczego w roku 1809, po zwycięstwie nad Austryą, do którego tak dzielnie przyczynił się oręż polski, nie połączył z Księstwem Warszawskiem całego austryackiego zaboru? Dlaczego w roku 1812 z miejsca nie proklamował niepodległej Polski od morza do morza? Dlaczego wyniszczał Polskę przez wojenne postoje, dlaczego rujmował jej skarb, każąc sobie złożyć „sumy bajońskie“, dlaczego wysłał przedtem legionistów polskich na San Domingo, a później polskie pułki do Hiszpanii?

„Ja się uznaję za największego niewolnika ze wszystkich ludzi, mój pan nie ma serca, a panem tym jest natura rzeczy...“ Tak tłómaczył sprzeczności w swych czynach sam wielki cesarz. „Prawdą jest tyle tylko“ — wyznawał jako więzień, na Św. Helenie — „że w rzeczywistości nie byłem nigdy samym sobą... Ależ bo zaprawdę, nie byłem panem swoich czynów, gdyż nie byłem tak szalonym, aby chcieć skurczyć wypadki stosownie do ukształtowania się mego systematu, lecz przeciwnie, naginałem swój systemat do nieprzewidzianego zbiegu okoliczności“. Posłuchajmy Napoleona, jak spowiada się w dniach porażki przed chcącymi go opuścić oficerami polskimi — rozbitkami Księstwa Warszawskiego: „Jestem cesarzem Francuzów, moje obowiązki są względem Francyi...“ I jednym prawie tchem mówi dalej: „A zatem, panowie Polacy, trzeba iść za mną. To mówię wam nie jako cesarz Francuzów, ale jako człowiek Europy...“ [1]). Tutaj tkwi sprzeczność fatalna, której ofiarą paść musiało wielkie cesarstwo Zachodu, której ofiarą padł Napoleon I. A początkiem katastrofy była chwila, gdy mu wypadło „z narodowego, mocarstwowego stanowiska podnieść się na światowe“, w obronie Polski, dla wyzwolenia Polski, zetrzeć się z Rosyą.

Na ten krok nie odważyła się ongi francuska Republika. Zuchwała polityka Dyrektoryatu dziwnie stawała się trzeźwą, gdy szło o to, by wojnę na obelgi i na machinacye dyplomatyczne, zamienić na realną wojnę, na mroźną północ skierować republikańskie armie. Przedsięwzięcie to przekraczało siły Francyi republikańskiej, przejdzie siły Francyi cesarskiej. U progu swego panowania poświęci pierwszy konsul Bonaparte polskie legiony, byle osiągnąć pokój z Rosyą. Dla pokoju z Rosyą zgodzi się w Tylży, po zwycięskiej kampanii,

---

[1]) Kwartalnik historyczny, tom XIII, str. 73 sq. Szymon Askenazy: „Napoleon a wojsko polskie w r. 1813“.

na okrojenie stwarzanego państwa polskiego, na odmówienie mu imienia Polski. Aby nie zrazić wiarołomnego sprzymierzeńca z nad Newy, zgodzi się w r. 1809 na pozostawienie Galicyi Wschodniej przy Austryi. „Polska — mówił wówczas do wysłańców polskich — to jest zawsze przedmiot, o który zrywają się wszelkie układy z Rosyą. Rosya czuje doskonale, że jest ona dostępną dla ataku jedynie przez Polskę... Wiem, że odbudowanie Polski ustaliłoby równowagę w Europie, ale tej równowagi niepodobna przywrócić bez wojny z Rosyą..."

Napoleon musiał podnieść sprawę polską. Zmusiły go do tego doraźne, polityczne racye, zmusiły go do tego konieczności wojny z Prusami i ze sprzymierzoną z nimi Rosyą. Przedtem jeszcze i potem inne względy wiązały go ze sprawą naszej niepodległości: wyższe racye polityki światowej i silniejsze zapewne, z natury jego żołnierskiej płynące, z szacunku dla krwi, przelanej za jego sprawę [1]). Ale chciał dokonać wyzwolenia Polski za zgodą Rosyi. Chciał w pewnych chwilach to dzieło wyzwoleńcze uczynić łącznikiem między sobą, a Aleksandrem. Chciał rzeczy niemożliwej. Stąd połowiczność w rozwiązaniu kwestyi polskiej w latach 1807 i 1809, stąd tkwiący w takiem rozwiązaniu zarodek przyszłej walki śmiertelnej. W roku 1811 honor mu nie pozwala poświęcić Księstwa Warszawskiego; wojna postanowiona, wraz z nią odbudowanie Polski. Ale w chwili tej Napoleon staje się już przedewszystkiem „człowiekiem Europy". Popada w sprzeczność z interesami i zasobami sił swego cesarstwa. Popada w nową z sobą sprzeczność. Nie przestaje działać jako zdobywca, jako cesarz Francuzów. Później dopiero, jako więzień, pojmie, że w tej przełomowej chwili jeden tylko krok mógł go ocalić — oparcie się na „jakobińskim wulkanie", na wyzwoleńczych dążeniach narodów. Tego nie uczynił. Nie uczynił tego nawet w Polsce. „Nie był zbawicielem ludów" — stwierdza mądry, trzeźwy sąd historyka. — „...To było wynikiem złowrogiego, zwalonego na jego barki, dziejowego dziedzictwa całego złowrogiego wieku, za które jego wyłącznie czynić odpowiedzialnym nie wolno i nie podobna..." „To było ludzkiem..."

Przyszła katastrofa. „Może wasza nieszczęśliwa gwiazda pociągnęła za sobą i moją!" — mówił Napoleon później w chwili goryczy do oficerów polskich. Ale jeszcze w fatalnym dlań roku 1813, po bitwie wygranej dawał generałowi

---

[1]) Rozwija to świetnie Skałkowski w jednym z szkiców, zawartych w wymienionym wyżej zbiorze (O cześć imienia polskiego).

polskiemu, wysyłanemu do ojczyzny, niby wiatyk na drogę cudowne słowa:

„Idę do Polski i dla Polski“ [1]).

* * *

A teraz postawmy pytanie inaczej, w jedyny sposób, w jaki stawiać pytania takie wolno: dlaczego mimo zwycięstw Napoleona, mimo istnienia armii polskiej, mimo istnienia wreszcie polskiego państwa, Polska nie wyzwoliła się sama? Dlaczego w r. 1807 nie wybuchło powstanie na tyłach nieprzyjacielskiej armii? Dlaczego w r. 1812 Litwa nie spróbowała „uprzątnąć śmiecia“ wedle rad robakowych? Dlaczego u schyłku tegoż roku rozbitki armii napoleońskiej nie zastały Polski jednym obozem uzbrojonym? Dlaczego rząd cywilny Księstwa przyjął zmianę pana tak skwapliwie? Dlaczego wojsko polskie zostało skazane na to, by walczyć jedynie „o cześć imienia polskiego“? Niewątpliwie, na wiele z tych pytań znajdzie się wyjaśnienie w wyczerpaniu kraju, w małej świadomości mas chłopskich — tak zresztą ochoczo idących do szeregu — szczupłości mieszczaństwa, zrażeniu się szlachty do Napoleona, ciążeniu magnateryi ku Rosyi, w błędnej wreszcie polityce Napoleona i nędznej robocie księdza Pradta. Ale fakt faktem pozostanie. „Cóż uczyniła wasza konfederacya (z roku 1812)? Nic, a nic!“ — wyrzucał później Napoleon Polakom. Że Napoleon „Polski nie odbudował“, przypisać należy w wielkiej mierze samej Polsce.

A jednak dokonała ona wiele wśród napoleońskiej burzy. Przełamała łańcuchy trzeciego rozbioru, uzyskała dla części swej ziemi byt niezależny i społeczne odrodzenie, ocaliła wśród katastrofy powszechnej dla małego przynajmniej Królestwa odrębność instytucyj państwowych, możność samoistnego rozwoju. A stało się to dzięki krwawej siejbie legionów, dzięki istnieniu ludzi, którzy chcieli i musieli wojnę prowadzić, dzięki tej silnie ugruntowanej świadomości, że nie zdobywa się wolności inaczej, jak ostrzem bagnetu.

St. Zawierucha.

Czy socyaliści mogą budować państwa burżuazyjne?

Wśród haseł, używanych dla zwalczania dążeń naszych, znajduje się jedno, które z umyślną lubością używane było w tych chwilach, gdy warunki zewnętrzne zdawały się być

[1]) List Napoleona do gen. Sokolnickiego po bitwie pod Lützen 2 maja 1813 r.; ogłosił go świeżo po raz pierwszy p. Kipa w „Kwartalniku Historycznym“ z r. b., zeszyt 3.

odpowiednimi dla rozpoczęcia akcyi czynnej, zmierzającej ku wyzwoleniu Polski z ucisku. Jest niem zasada, że zadaniem socyalistów nie może być tworzenie państwa burżuazyjnego. Hasło to brzmi bardzo klasowo, to też, przyznać należy, cieszyło się ono nieraz powodzeniem, gdy głoszone było przed ludźmi, którzy nie nauczyli się jeszcze patrzeć głębiej na zjawiska społeczne, a skądinąd nastrojeni byli z góry nieprzychylnie dla idei walki zbrojnej o niepodległość. Ale i dzisiaj, pomimo tego, że znikła znaczna ilość przesądów, które paraliżowały przed laty czterema siły świadomego proletaryatu polskiego, jednak zasada powyższa pokutuje jeszcze wśród przedstawicieli tego odłamu socyalizmu polskiego, który obojętnie odnosi się do sprawy zrzucenia obcego jarzma — członków „Socyal-Demokracyi Królestwa Polskiego“ oraz „Frakcyi Umiarkowanej“ P. P. S.

Nad teoretyczną wartością zasady sprzeczności między zadaniami partyi socyalistycznej w społeczeństwie dzisiejszem, a tworzeniem nowych państw burżuazyjnych, zastanawialiśmy się już nieraz. Wykazywaliśmy — co zresztą nie jest bynajmniej rzeczą trudną ani zawiłą — że zasada powyższa jest tylko karykaturalnem małpowaniem poglądów taktycznych tych towarzyszy Europy zachodniej, którzy nie mają w chwili dzisiejszej potrzeby zastanawiać się nad zagadnieniem, czy należy tworzyć jakieś nowe państwa, którzy czują się dobrze — o ile to możliwe — w granicach państw dzisiejszych i sprzeciwiają się wojnom, któreby te granice zmieniły; że jednak nawet ci towarzysze, o ile rozpatrują powyższą sprawę, nie widzą w zasadzie nic w tem zdrożnego. Nie trudno też, zarówno na zasadzie teoryi socyalistycznej, jak praktyki partyj socyalistycznych, dojść do wniosku, że tylko anarchiści odnoszą się obojętnie do kwestyi, jakim jest zewnętrzny wygląd państwa, w którem żyje i działa proletaryat danego narodu, że zaś właśnie zadaniem partyi socyalistycznej jest stworzenie takiego państwa burżuazyjnego, które najlepiej odpowiada jej interesom, póki nie został osiągnięty nasz cel ostateczny — zniesienie kapitalizmu. Nie będziemy się zatem nad tą sprawą dłużej zastanawiali, przejdziemy zaś do rozpatrzenia, jak się proletaryat innych narodów zachowywał w konkretnych wypadkach, gdy stawało przed nim zagadnienie, czy należy tworzyć nowe, burżuazyjne państwo, kosztem własnych wysiłków. Przytem jako przedmiot naszych badań weźmiemy proletaryat tego narodu, gdzie teorya socyalistyczna najwszechstronniej jest opracowana i najbardziej przeniknęła do mas — Niemcy.

Rewolucya r. 1848 odbyła się w Niemczech pod dwoma hasłami: zjednoczenia ojczyzny i zaprowadzenia ustroju kon-

stytucyjnego. I jedno i drugie nie udało się, gdyż burżuazya niemiecka zbyt mało była rewolucyjną, by dojść do ostatecznych konsekwencyj, wynikających z jej dążeń: nie obaliła monarchii w żadnem z państewek niemieckich, zadowolniła się drobnemi ustępstwami, pozwoliła swym panującym, gdy ochłonęli z przerażenia, wywołanego pierwszym atakiem rewolucyi, zorganizować wszędzie stronnictwo reakcyjne i cofnąć wszystkie ustępstwa lub ich większość. Lud zaś nie rozumiał jeszcze zupełnie swych interesów, szedł za burżuazyą, gdy go wezwała, później razem z nią się cofał. Stronnictwo socyalistyczne nie stanowiło wtedy jeszcze nigdzie siły politycznej, to też nie odegrało roli samodzielnej; te zaś siły, które przez Marksa i Engelsa zostały zorganizowane, dążyły z całą energią, na jaką je stać było, do zjednoczenia Niemiec i zniesienia absolutyzmu.

Rewolucya została zdławiona, konstytucye cofnięto lub je ograniczono, zaś karykatura rządu ogólno-niemieckiego, w postaci bezsilnego a gadatliwego parlamentu frankfurckiego oraz mianowanego przezeń „Namiestnika Państwa“ — znikła. Rządy despotyczne ścigały myśl konstytucyjną narówni z myślą narodową. Dążenie do zjednoczenia Niemiec uważane było za takie same przestępstwo, jak chęć uzyskania wolności. Nie dość tego: rządy poszczególnych państw tłumiły w zarodku wszelką myśl narodową, w obawie, by się przeciwko nim nie zwróciła, — gdy np. w Ślezwiku wybuchło powstanie przeciwko rządom duńskim, Prusy posłały tam swe wojsko, które pomogło Duńczykom przywrócić „porządek“.

Ciężki jak ołów całun reakcyi spowił ojczyznę niemiecką, zdawało się na długo. Ale już po kilku latach zjawia się pierwszy zwiastun odrodzenia: główny inspirator despotyzmu, car Mikołaj, zostaje powstrzymany w swych bezczelnych zapędach podbicia Turcyi i z wściekłości, spowodowanej klęskami krymskiemi, odbiera sobie życie. Rosya wstępuje w okres przeobrażania się wewnętrznego, w polskich jej prowincyach powstaje ruch narodowy, carat przez dłuższy czas pozbawiony zostaje możności mieszania się czynnego do spraw europejskich. Tymczasem bomba Orsiniego przypomina Napoleonowi III jego obietnice względem Włoch. Cesarstwo francuskie pomaga królestwu Sardynii rozpocząć z Austryą wojnę, mającą być wstępem do zjednoczenia i wyzwolenia Włoch.

Wypadki te żywem echem odbiły się w Niemczech. W r. 1859 powstaje tam „Związek Narodowy“, który stawia sobie za zadanie zjednoczenie ojczyzny. Podczas wojny włoskiej krzyżują się zdania, czy należy pomódz Austryi i w ten sposób zapobiedz ewentualności późniejszego najazdu francuskiego, czy lepiej doczekać się klęski Austryi, która otworzy

reszcie Niemiec drogę do zjednoczenia się. Marks, Engels i Lasal całym szeregiem broszur biorą udział w tej dyskusyi. Najlepiej może pojmuje sytuacyę Lasal, który wskazuje, że wyparcie Austryaków z Lombardyi nie przyniesie żadnej szkody interesom narodowym Niemiec, że zaś jedyną konsekwencyą takiego wyniku wojny powinno być uwolnienie prowincyj północno niemieckich od jarzma duńskiego.

Myśl tę podnoszą Prusy, które po klęsce Austryi ośmielają się wstąpić na drogę, wskazaną im przez wypadki, lecz nie wyzyskaną w r. 1848. Bismark przystępuje do reorganizacyi armii pruskiej, odnawiając tradycye czasów wojen z Napoleonem I, nie zraża się tem, iż sejm pruski odmawia mu kredytów, owszem, pobiera podatki i zaciąga pożyczki bez zgody sejmu; gdy zaś zjawia się sposobność (śmierć króla duńskiego), wytacza wojnę Danii i okupuje Ślezwik oraz Holsztyn, wciągając do tej sprawy i Austryę, która, rada nie rada, musi mu sekundować, by mu nie pozwolić korzystać samemu z owoców zwycięstwa. Dzieje się to w r. 1864, w ostatnich miesiącach życia Lasala.

Lasal przez cały czas swej, niestety tak krótkiej działalności agitacyjnej, pozostał wierny swym dawnym zasadom i, uważając zjednoczenie Niemiec za pierwszorzędne, na owe czasy, zagadnienie polityczne, nie zawahał się nawet przed rozpoczęciem osobistych pertraktacyj z Bismarkiem, podczas których między innemi usiłował skłonić go do rozpoczęcia akcyi w tym kierunku. Ale ówczesna sytuacya polityczna nie pozwalała jeszcze partyi socyalistycznej odegrać roli samodzielnej w polityce zewnętrznej, przytem — partyę tę należało dopiero tworzyć i to zadanie pochłonęło całkowicie energię i niepospolite zdolności Lasala. Właściwa chwila nadeszła dopiero po jego śmierci, gdy polityka Prus zdeklarowała się, konflikt między niemi a Austryą stał się prawie pewnym, a kwestya stworzenia jednolitego państwa niemieckiego nabrała aktualności.

Kierownikiem faktycznym organizacyi lasalowskiej — „Powszechnego Niemieckiego Związku Robotniczego“ — i redaktorem jej organu, „Socyalnego Demokraty“, stał się po śmierci Lasala Schweitzer. Był to człowiek zdolny, doskonały agitator i organizator, ale pozbawiony skrupułów i dążący bezwzględnie do celu, który, zdaniem jego, wynikał z danej sytuacyi politycznej. Odegrał on bezsprzecznie bardzo poważną rolę w okresie historycznym, który nas zajmuje, a jednocześnie przyczynił się w znacznym stopniu do wzrostu partyi socyalistycznej [1]).

[1]) Schweitzerowi zarzucali później Liebknecht i Bebel, iż był on ajentem Bismarka. Zarzut ten, podniesiony w chwili najostrzejszej

Liebknecht, chociaż był już wtedy oddawna socyalistą, nie należał jednak do Powsz. Niem. Zw. Rob., lecz działał w łonie partyi demokratycznej, organizując w niej grupy robotnicze, które na razie nie zrywały z demokratami. Pomagał mu w tem Bebel, który skłaniał się dopiero do socyalizmu. O roli organizacyj, będących wtedy pod ich wpływem, będziemy też mieli sposobność wspomnieć.

W kilka miesięcy po wojnie duńskiej pojawił się w „Soc. Dem.“ szereg (pięć) artykułów Schweitzera, które otrzymały później nazwę „artykułów bismarkowskich“ i narobiły wielkiej wrzawy. Pierwszy z tych artykułów wydrukowany został 27 stycznia 1865 r., ostatni 1 marca.

Pierwsze dwa artykuły Schweitzera są panegirykiem na rzecz Prus, który każdemu z nas wyda się czemś niesłychanem, a nawet wśród współczesnych wywołał niejeden wybuch oburzenia. Prusy są, zdaniem Schweitzera, państwem zupełnie wyjątkowem, które odznacza się pewnemi specyficznemi zaletami i z tego powodu musi wielką rolę odegrać. Dlatego rojalizm w Prusiech jest rzeczą daleko bardziej naturalną, niż gdzieindziej. Trzeci artykuł wskazuje, iż Prusy, wytaczając wojnę Danii, odnowiły najświetniejsze swe tradycye. Krok taki pociąga za sobą pewne konsekwencye, które są dla Prus konieczne, jeżeli państwo to nie ma upaść. Dalsza okupacya Ślezwiku i Holsztynu przez wojska pruskie oraz austryackie jest stanem przejściowym, który wiecznie trwać nie może, jak to każdy już dziś rozumie. Prusy będą musiały te prowincye zaanektować, to zaś stanie się początkiem rozbicia Rzeszy Niemieckiej, przetworzenia jej w jednolite państwo niemieckie. Prusy muszą posuwać się naprzód, i jeśli potrzeba, nie cofnąć się przed polityką k r w i i ż e l a z a.

Ostatni artykuł uzasadnia, że ani Austrya, ani Rzesza niemiecka, ani drobne i średnie państewka nie mogą nic dla Niemiec zdziałać, ani w dobrem, ani w złem; zdolne do działania są tylko dwa czynniki: Prusy i naród, pruski bagnet lub niemieckie pięście robotnicze!“ [1]).

---

walki między organizacyą lasalowską, a stronnictwem, kierowanem przez L. i B., był w swoim czasie powodem niesłychanego zaognienia stosunków między spierającemi się stronami. Po wojnie francusko-pruskiej Schweitzer usunął się od życia politycznego, a własna jego organizacya przyznała później słuszność zarzutom L. i B. Jednak M e h r i n g, historyk socyalizmu niemieckiego, nie uważa bynajmniej tego zarzutu za dowiedziony, a w każdym razie, jak to zobaczymy, wysoce ceni działalność polityczną Schweitzera w okresie r. 1864—1866, a nawet nieraz wskazuje wyraźnie na wyższość jego taktyki nad taktyką Liebknechta i Bebla.

[1]) Cytowane w artykule W. Schrödera w „Sozialistische Monatshefte“ r. 1909, zeszyt 13, str. 833.

Artykuły te, jak wspomnieliśmy, poruszyły silnie umysły współczesnych. Marks i Engels wystąpili z redakcyi „S. D.“, chociaż nie po pierwszym, najbardziej nadającym się do skrytykowania, artykule, ale dopiero w miesiąc później (25 lutego). Mehring, rozpatrując sprawę z perspektywy dzisiejszej, zupełnie inaczej ją ocenia. Zdaniem jego, artykuły te dowodzą, że „Schweitzer pod względem jasności oceny sytuacyi politycznej o całe niebo stał wyżej od prasy postępowej“ [1]); później mówi on: „W swem niezwykle trudnem położeniu, Schweitzer nie zawsze utrzymywał swą taktykę w należytych granicach, co tyczy się np. niektórych zdań artykułów bismarkowskich, jednak słuszność jego taktyki stwierdził historyczny bieg wypadków“ (Ib., str. 147). I jeżeli w innem miejscu Mehring mówi (str. 141), że „nie wszystko było w porządku w artykułach Schweitzera“, to nie uważa on nawet pochwał dla Bismarka za wielkie przekroczenie zasad rewolucyjnych, ale oburza się tylko na to, że Schw. w entuzyastyczny sposób wyraził się o Fryderyku Wielkim.

Trzeba sobie uzmysłowić ówczesną sytuacyę polityczną. Austrya nie mogła marzyć o podbiciu całych Niemiec ówczesnych i, chcąc utrzymać swą nad niemi przewagę, popierała rozdrobnienie, zwalczała wszelką myśl narodową. O dobrowolnej federacyi mowy być nie mogło, gdyż panujący niezdolni byli wyrzec się swych przywilejów dobrowolnie. Pozostawały zatem dwie drogi: gwałtowna rewolucya z dołu, waląca trony i stawiająca na ich miejsce wszechniemiecką republikę, lub podbój małych państewek przez Prusy. Schweitzer, podobnie jak mistrz jego — Lasal, widział to i nie zawahał się przed wyraźnem stwierdzeniem faktów.

To wskazanie roli, jaką Prusy mogły były wówczas odegrać, było konieczne ze względu na zachowanie się tego państwa, mianowicie na jego robione publicznie przygotowania do wojny i na kampanię duńską. Ignorować takie fakty można było tylko w tym wypadku, gdyby socyaliści niemieccy uważali kwestyę zjednoczenia Niemiec za coś, co ich wcale nie obchodziło. Tak jednak nie było. To mające powstać „nowe państwo burżuazyjne“ było dla nich czemś tak ważnem i pożądanem, że nie mogli odnieść się doń obojętnie.

Zrozumienie rewolucyjnej roli, jaką Prusy musiały wtedy mimowoli odegrać pod wpływem potrzeb własnych, a nawet interesu dynastycznego Hohenzollernów, — nie powinno było powstrzymać proletaryatu niemieckiego od działalności sa-

[1]) Franciszek Mehring. Historya niemieckiej Socyalnej Demokracyi, Stuttgart 1897. Str. 140. — W dalszym ciągu artykułu powoływać się będziemy na to dzieło, wskazując numery stronnic.

modzielnej, od dążenia do takiego ukształtowania „nowego państwa burżuazyjnego“, jakie leżało w jego interesie. Widzieliśmy, że Schweitzer rozumiał i to, pragnął, by „robotnicze pięście“ stały się siłą, tworzącą Nowe Niemcy. Niestety, proletaryat niemiecki nie mógł wtedy dokonać czegoś podobnego. Nie był on ani dostatecznie liczebny, ani świadomy, nie posiadał tradycyj rewolucyjnych, któreby mu posłużyły za drogowskaz. Rola jego musiała zatem z natury rzeczy ograniczyć się do współdziałania, starając się przy sposobności uzyskać jak największe korzyści. Pierwszym warunkiem takiej akcyi było jasne zdawanie sobie sprawy z sytuacyi.

W swej roli chirurgów, przecinających zaropiały wrzód, jakim była ówczesna Rzesza Niemiecka, Prusy potrzebowały pomocy, a przynajmniej poparcia jak najszerszych mas ludowych niemieckich. Sposobem uzyskania takiego poparcia było dążenie do nadania przyszłym Niemcom konstytucyi bardziej demokratycznej od urągających wszelkim zasadom wolności i praw obywatelskich ustaw poszczególnych państewek niemieckich. Godziło się to z interesem partyi socyalistycznej, której obowiązkiem było zatem pchanie Prus na tę drogę.

W r. 1866 przygotowania pruskie są dokonane, armia zreorganizowana, sojusz z Włochami zawarty, Napoleon uspokojony obietnicami, które nigdy nie miały być dotrzymane. I oto dnia 8 kwietnia 1866 r. Bismark stawia w Bundestagu wniosek zwołania parlamentu wszechniemieckiego, wybranego w powszechnem głosowaniu, dla obrad nad projektami reformy Rzeszy, których opracowania powinny były podjąć się rządy. W ten sposób B. występował jawnie nietylko jako zwolennik zjednoczenia kraju, ale apelował do ludu, obiecując mu powszechne głosowanie, oraz do całego narodu, podnosząc kwestyę wolności przesiedlania się, przemysłu, handlu, jedności monet i miar, obrony handlu zagranicą i t. p. — co wszystko miało wchodzić w zakres projektowanych „reform“.

Rząd pruski nie cofnął się nawet przed próbami jawnego kokietowania z socyalizmem. Marksowi zaproponowano współpracownictwo w urzędowym „Staatsanzeiger“ (na co on nie przystał), Schweitzera, zasądzonego w listopadzie 1865 r. na 16 miesięcy więzienia, wypuszczono 9 maja „na urlop“.

Burżuazya niemiecka, zetknąwszy się z realnym faktem wojny, straciła zupełnie głowę. „Związek Narodowy“ utyskiwał na wielkie wydatki, mające obarczyć kieszenie obywateli; lewe skrzydło mieszczaństwa, „Niemiecka partya ludowa“ wysunęła hasło federacyi małych i średnich państewek, które powinny były oprzeć się Prusom. Bebel na ze-

braniu postępowców w Lipsku mówił, iż wojny bać się nie należy, gdyż „lud w swoim czasie podniesie i zakończy wojnę w swoim duchu“ (str. 175). Ale na innem zebraniu masowem w Lipsku, d. 8 maja 1866 r., tenże Bebel oraz Liebknecht pochwalają zbrojenie się Saksonii, potępiając jednocześnie Prusy. W ten sposób drugi odłam socyalizmu niemieckiego zaangażował się w bronieniu sprawy, która skazana była na klęskę i w dodatku, nawet w razie wygranej, nie mogła ukształtować losów ojczyzny niemieckiej w sposób, korzystny dla proletaryatu.

Nie wynika stąd bynajmniej, by Liebknecht nie był wówczas zwolennikiem zjednoczenia Niemiec. Owszem, pojmował on doskonale jego znaczenie, jak widać z ówczesnych i późniejszych wypowiedzeń się, ale, w swej nienawiści do reakcyjnych i szlacheckich Prus, nie potrafił uchwycić właściwej linii politycznej i upatrywał zbawienie w federalizmie, za którym nie stały żadne siły.

Prusy zwyciężyły. Armie austryacka, saska, heska, hanowerska i inne zostały rozbite. Wynikiem wojny była aneksya przez Prusy Ślezwiku i Holsztynu, Hanoweru, Hesyi elektoralnej, Nassau oraz miasta Frankfurtu. Reszta państewek niemieckich na północ od rzeki Men została zjednoczona wraz z Prusami, w „Związek Północno Niemiecki“, który stanowił prototyp późniejszego cesarstwa niemieckiego; „Związek“ otrzymał parlament, wybierany w głosowaniu powszechnem, równem, tajnem i bezpośredniem. Rzesza niemiecka została rozwiązana. Austrya straciła wszelki wpływ na Niemcy, a cztery państewka południowe (Bawarya, Würtemberg, Baden i Hesya) uznane zostały za niepodległe jednostki polityczne. Państwa, wchodzące w skład „Związku“ zachowały swe sejmy cenzusowe, którym powierzone było rozstrzyganie o najważniejszych sprawach.

Było to załatwienie sprawy połowiczne, ale zarazem jedyne, na jakie Niemcy mogły się zdobyć. Bismark, przy całej swej chciwości na ziemie sąsiadów, nie zdecydował się w żadnej chwili wojny postawić wyraźnie kwestyi na gruncie narodowym, któryby usprawiedliwił i umożliwił aneksyę całych Niemiec. Socyaliści zaś niemieccy nie byli w stanie ani dokonać rewolucyi samodzielnej, zmiatającej i tron pruski i wszystkie inne, ani zdobyli się na to, czego dokonał we Włoszech republikanin Garibaldi: obalenie siłą rządów wszystkich drobnych despotów i wcielenie ich ziem do jednego państwa, w tamtym wypadku — Sardynii, w tym — Prus. Dlatego też liczba przeszkód, z któremi napotyka się dążąca do wolności klasa robotnicza niemiecka, daleko większą jest od tej, jaka istnieje we Włoszech.

Przez cały ciąg wojny Schweitzer i Powsz. Niem. Zw. Robotniczy agitowali niezmordowanie za zjednoczeniem całych Niemiec, zatem przeciw linii Menu, oraz za powszechnem głosowaniem. Saskie stowarzyszenia robotnicze (Liebknecht i Bebel) d. 19 sierpnia wypowiedziały się za jednością federalistyczną. Po wojnie lasalowcy potępili Prusy za to, iż nie złączyły całej ojczyzny, ale wypowiedzieli się za tem, co się stało. „Nie jest to wyjście, którego chcieliśmy, ale jest to wyjście“ (str. 190).

Gdy przyszły pierwsze wybory z powszechnem głosowaniem, okazało się, iż lasalowcy mają za sobą znaczną większość zorganizowanego proletaryatu. Otrzymali oni 40.000 głosów, działając zupełnie samodzielnie, zaś „międzynarodowcy“ (Liebknecht, Bebel), którym pomagało lewe skrzydło burżuazyi, zebrali 12—15 tysięcy głosów. Stosunek ten utrzymał się i później. W r. 1871 lasalowcy mają 63.000 głosów, międzynarodowcy — 39.000.

Po założeniu „Związku Północno Niemieckiego“ zjednoczenie Niemiec było już zapewnione, przytem nie mogło ulegać wątpliwości, że ono dokonane zostanie na tych podstawach, które stworzył Bismark w r. 1866. Wiadomo, iż sposobem, którego on użył, aby przezwyciężyć możliwy opór południowo niemieckich monarchów, było sprowokowanie wojny z Francyą, rządzoną wówczas przez Napoleona III. Taktyka partyj socyalistycznych niemieckich była i w tym wypadku zgodną z poprzedniemi ich wystąpieniami: lasalowcy widzieli przedewszystkiem potrzebę obrony Niemiec przed grożącym najazdem francuskim, głosowali zatem za budżetem wojny; Liebknecht i Bebel wojny nie chcieli, uważając ją za czysto dynastyczne przedsięwzięcie, nie chcąc jednak, by ich wzięto za zwolenników Bonapartego, powstrzymali się od głosowania. Dodać należy, iż zdanie ich nie było podzielane nawet przez ich ściślejszych towarzyszy, gdyż ich zarząd partyjny potępił ich [1]).

I tu znowu historyk socyalizmu niemieckiego przechyla się ku opinii lasalowców. Potępia on zdanie „Volksstaat'u“, organu Liebknechta, jakoby „proletaryat nie miał z tą wojną nic wspólnego“, a taktykę Schweitzera i Hasenclewera, którzy głosowali za budżetem, tak ocenia (str. 294):

„Słusznie oświadczył „Sozialdemokrat“ (organ Schweitzera), że „zwycięstwo Napoleona oznacza klęskę socyalisty-

---

[1]) L. i B. nie znajdowali się już wtedy w partyi demokratycznej, ale od r. 1869 posiadali własną organizacyę socyalistyczną, założoną w Eisenach.

czynych robotników we Francyi, oznacza wszechpotęgę żołdactwa bonapartystowskiego w Europie, oznacza zupełne rozkawałkowanie Niemiec“.

Dopiero, gdy zjednoczenie Niemiec stało się faktem, a Francya republikańska przestała być groźną dla Niemiec, nastąpiła zgoda obu frakcyj socyalistycznych w sprawach taktyki. Przeciwko aneksyi Alzacyi i Lotaryngii głosują Liebknecht i Bebel, Schweitzer i Hasenclewer — jedni z całego parlamentu. Ich głosy łączą się też przeciw udzieleniu królowi pruskiemu tytułu cesarskiego. A po czterech latach, na zjeździe w Gotha (1875) ustało wogóle rozdwojenie socyalistów niemieckich, powstała jedna partya socyalno-demokratyczna.

Wogóle zatem przez cały okres czasu, gdy przygotowywało się zjednoczenie Niemiec, partya socyalistyczna w postaci lasalowców czynny bierze w tem udział i nie waha się nawet, dla dopięcia celu, współdziałać z rządem pruskim, z którym skądinąd toczyła walkę na noże. Co się drugiego odłamu socyalistycznego tyczy, to nie był on partyą we właściwem słowa znaczeniu, ale grupą propagandystów, którzy nie prowadzili samodzielnej polityki proletaryackiej i nawet zgodnie mieścili się w stronnictwie mieszczańskiem — partyi demokratycznej. I ci jednak uważali cel, do którego dążyli lasalowcy, za rzecz niezmiernie potrzebną dla klasy robotniczej, nie obawiając się bynajmniej tego, iż owocem ich wspólnych usiłowań będzie nowe „państwo burżuazyjne“. Że zaś powstanie tego państwa burżuazyjnego — zjednoczonych Niemiec — dało dopiero ten kolosalny rozpęd partyi socyalistycznej, który dziś wszyscy podziwiamy, tego nie potrzeba wykazywać.

* * *

Przy sposobności warto przypomnieć, że ten sam Mehring, który, jak widzieliśmy, nawet dla „artykułów bismarkowskich“ Schweitzera znajduje tylko słowa łekkiej nagany, wogóle zaś niedwuznacznie przekłada taktykę Schweitzera i lasalowców ponad abstynencyę polityczną Liebknechta i Bebla, że Mehring jednak uznał za stosowne nazwać dążenie P. P. S. do niepodległości i zjednoczenia Polski „reakcyjną utopią“ i to „podwójnie skazaną na upadek“ (patrz uwagi F. Mehringa do III t. Pism Marksa i Engelsa). Co prawda, tłómaczy go ta okoliczność, iż, jak to sam naiwnie przyznaje, swe wiadomości o historyi polskiej czerpał on z „kajeciku“, który mu jego „młoda przyjaciółka pożyczyła“. Bądź co bądź, ocena akcyi socyalistów niemieckich w sprawie zjednoczenia

kraju, dana przez Mehringa, jaskrawo odbija od tego, co on uważa za stosowne nam doradzać i co jeszcze dotąd u nas bezmyślnie bywa powtarzane przez niektóre bezkrytyczne jednostki.

A. Wroński.

Literatura i społecznikowstwo.

Zdziwiliby się zapewne niepomału Banville, Gautier i inni francuscy mistrze „sztuki dla sztuki", ujrzawszy jej polską odmianę. Obłędne wizye, przeraźliwy smutek, rozpacz, ból, szamotania, mistycyzm, tęsknica byłyby dla nich czemś zupełnie obcem i niezrozumiałem w poezyi Młodej Polski. Albowiem nawet „sztuki dla sztuki", pozornie od życia najdalszej, nie podobna zrozumieć w jej najistotniejszej, uczuciowej treści bez znajomości źródeł jej swoistych zabarwień w całokształcie życia, z którego wyrosła. Zwłaszcza zaś niemożliwem jest to w tej dziedzinie sztuki, która zarówno przez treść swą, jak i środek uzewnętrznienia — słowo, z życiem zbiorowem najściślej się wiąże. W literaturze — i w niej przedewszystkiem — zwierciadlą się najgłębsze, najprawdziwsze dzieje form świadomości, w których przeżywa naród — tworzy albo znosi — koleje swe i losy. Stąd Goethe rzekł, że kto chce zrozumieć poetę, ten musi poznać jego kraj ojczysty.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, by stosunek pisarza-artysty do społeczeństwa był aż tak znów prosty, jak się to niekiedy społecznikom zdaje.

Nie ulega wprawdzie najmniejszej wątpliwości, że pisarz pozostaje w najściślejszym związku z całokształtem życia zbiorowego warstwy, klasy i narodu, z których organicznie niejako wyrasta. Pomimo tylu zapewnień artystów (zwłaszcza w ostatnich czasach) o bezwzględnej wyższości sztuki ponad chwilą, o jej „wiecznościowości", to w dziełach jej można zawsze odnaleźć wpływy chwili, cechy środowiska — i wiele nawet, aczkolwiek nie wszystko, przez nie wytłómaczyć. Albowiem wieczność jest tylko pojęciem oderwanem, sztywną i martwą abstrakcyą, a sztuka ma zawsze do czynienia z żywymi kształtami, z konkretami, z chwilą i z formami wiecznej przelotności, które wieczności samej swoisty ton nadają. Czyliż to samo tchnienie wieczności mówi do nas z utworów Wyspiańskiego i Przybyszewskiego? Wszakże właśnie to ciągle różne jej uczuciowe zabarwienie w sztuce jest najistotniejsze, bo ono to odróżnia wieczność artystyczną od metafizycznej.

A jednak pisarz, mimo to, nie jest tylko maryonetką w ręku chwilowych sił i prądów życia zbiorowego; nie jest on tylko bierną tubą skupiającą, przez którą, jak ongi bóg Apollo przez wieszczkę swą w Delfach, przemawiają ukryte potęgi tych albo innych potrzeb danego zrzeszenia. Taki pogląd na sztukę i literaturę, nierzadki zwłaszcza pośród wulgarnych marksistów, jest zwykłym daltonizmem wszelkich doktrynerów, jest zapoznawaniem najistotniejszej treści sztuki jako sztuki — kształtującej, twórczej istoty artyzmu. Krytycy tego rodzaju, tak łatwo kwalifikujący pisarzy według ich „pogrobowości", stosunku do przeżytych form myśli społecznej, dekadencyi burżuazyjnej, socyalizmu utopijnego i t. d., nie widzą — nie chcą, czy może niezdolni są widzieć, że artysta, jak każda wogóle istota poszczególna, już przez sam fakt owej poszczególności swojej, przez swe wyodrębnienie z całości, jest czemś nowem, swoistem i odmiennem, czemś nawet jedynem. I choćbyśmy zdołali co do jednego nawet określić pierwiastki natury ogólnej, społecznej, których dane dzieło sztuki jest syntezą, jedno w niem pozostanie zawsze tajemnicą, której na tej drodze wyświetlić nie zdołamy [1]). Tem czemś nieuchwytnem jest w dziele sztuki forma, żywy kształt, który zespół pierwiastków, niekiedy najbanalniejszej treści, przybiera mocą kształtującej, żywej, jedynej duszy twórcy (mamy tu, oczywiście, na myśli formę w najszerszem znaczeniu). To w każdem dziele sztuki, podobnie jak w każdem zjawisku i w każdej istocie poszczególnej, jest bezwzględnie nowem, bezwzględnie jedynem. A jest to zarazem coś, co z punktu widzenia sztuki i najgłębszych w niej upodobań ludzkich jest właśnie najważniejszem, co w ostatniej instancyi o dziełach jej rozstrzyga, mimo że się stanowczo opiera wszelkim próbom dalszej analizy. Jak gdyby wszelkie życie, wszelki ruch i twórczość granicę i kres swój znajdowały nietylko w śmierci i zniszczeniu, ale i w formach, które, mocą własną stwarzając, przybierają.

Bo to nietylko w sztuce forma jest, jak się zdaje, czemś najnieuchwytniejszem, do czego ujęcia, jak w matematyce przy określaniu pewnego rodzaju wielkości do ich t. zw. granicy, możemy jedynie zbliżać się przez coraz dokładniejsze poznanie elementów treści, ale nad czem w całej

[1]) A bodaj, że może i na żadnej innej, jako że „życie nie dzieli się bez reszty przez rozum ludzki", jak tylko w naiwnych mózgach doktrynerów, którzy ze zbytku mądrości „naukowej" bez rozumu chodzą, jako ów szewc bez butów. I właśnie my, społecznicy-socyaliści, których tak często o doktrynerstwo pomawiają, winniśmy podkreślać to zdanie Goethego, które podzielali i Marks nie - marksista, i Engels, na starość zastrzegający się tak wyraźnie przeciw wyprowadzaniu wszystkiego z sił wytwórczych.

rozciągłości nie panujemy nigdy, za co nie możemy ręczyć całkowicie nawet w dziedzinie działalności własnej. Czyż każdy z nas nie czuje, że jeżeli za co może wziąć na się odpowiedzialność, to chyba tylko za to, czego chce, lub co mu się zdaje w danej chwili t r e ś c i ą jego pragnień, ale za wykonanie, za f o r m ę wykonania, któż z nas zaręczyć może w całej pełni? Tu się zaczyna dziedzina jak gdyby najgłębsza, tajemnicza, gdzie nie my nad życiem, ale to coś szerszego i niepojętego, co życiem nazywamy, nad nami panuje i samo sobie stawia kres i krąg zakreśla. I dlatego tak bardzo cenimy artystów, i tak kochamy sztukę, i tyle szacunku mamy w głębi duszy dla talentu wszyscy, nawet najzaciętsi, najczystsi społecznicy. Bowiem artysta to ten, który nietylko jest, który istnieje, ale który i wyraz odpowiedni dla siebie znajduje i kształt dla treści swojej. Posiada on dar władzy takiej pożądanej, a tak niedostępnej dla zwykłych śmiertelników. Niedarmo wszak mówimy, że do wszystkiego w życiu potrzebny jest „talent“.

Byłoby przeto tylko śmiesznem zaślepieniem, przeciwko któremu w imię honoru swej umysłowości my, społecznicy, bronić się musimy, chcieć oceniać istotę i literaturę tylko z punktu widzenia społecznikowskiego. Daltonizm ten, niemal nieznany na Zachodzie, rozpowszechniony natomiast wśród naszych bezpośredniejszych i, kto wie, może nawet duchowo jednolitych, ale i naiwniejszych sąsiadów ze Wschodu, przedostaje się już niekiedy i do nas. Na szczęście, jak dotąd, w stopniu dość jeszcze słabym. Jest on wśród socyalistów zazwyczaj tylko jedną z niewinniejszych i śmiesznych odmian doktrynerstwa, właściwego ludziom, maskującym słabość i braki w myśleniu wielką zawziętością i radykalizmem prostackiej demagogii. Dostawszy do rąk narzędzie tak szacowne, lecz subtelne, złożone i w użyciu trudne, jak marksowska metoda oryentacyi pośród zawiłych zjawisk życia społecznego, i nie umiejąc metody tej stosować, nie wpadając w absurd, nawet w jej najbezpośredniejszej dziedzinie, bezmyślnie i prostacko przenoszą ją oni do dziedzin najdalszych. I w „naukowej“ naiwności swojej bodaj że nawet nie podejrzewają trudności, złożoności i głębi zagadnień tam, gdzie ich krótkowzroczność zdolna jest jedynie dojrzeć prostacką odmianę prostackiego ich światopoglądu. Zapewne też nawet „W Szwajcaryi“ Słowackiego radziby uprostaczyć, stosownie do poziomu umysłowości swojej i „objaśnić“, zgodnie z zasadami jedynie prawdziwego i naukowego socyalizmu swego [1]).

---

[1]) Jak komiczne bywają niekiedy wyniki tego rodzaju umysłowo-proletaryackiego myślenia, na to zwrócił uwagę tow. Redivivus w Nr.

Przeciwko takim krytykom, jak wogóle przeciwko wszelkiego rodzaju maniakom, którzy zatruwają i paczą myśl i życie, zastrzeżeń nigdy nie dość. I właśnie z naszego obozu przedewszystkiem wychodzić one winny. Krytyka psychologiczna, szukająca dla dzieła sztuki wyjaśnienia w duszy jego twórcy, czy filozoficzna, rozpatrująca objawy piękna pod kątem najgłębszych zagadnień myśli ludzkiej, czy nawet nastrojowa, czysto subjektywna, będąca również poniekąd sztuką jakby — wtórną, z drugiej ręki, — wszystkie te i inne rodzaje oceny, które się zwykle łączą w krytyce dzieł sztuki, nie są to tylko chytre płaszczyki, maskujące wyraz uznania albo potępienia interesów klasowych burżuazyi oceniającej (krytyków, publiczności) dla burżuazyi tworzącej (artystów). Krytyka literacka taka, jaka istnieje, chociaż oczywiście nadużywana często do celów postronnych i chociaż nie we wszystkich przedstawicielach swoich, ma jednak cel i racyę istnienia sama w sobie. Jest ona naturalnym wynikiem potrzeby obcowania, badania i coraz lepszego rozumienia dzieł sztuki — podobnie, jak sztuka jest wynikiem pewnych odwiecznych i głębokich potrzeb duszy ludzkiej. Któż, oprócz nieszczęsnych maniaków demagogii i megalomanii quasi-proletaryackiej, ośmieli się wyłączyć proletaryat od tej własności duchowej, jaką jest spuścizna po wielkich artystach? Nie! wbrew zapewnieniom anarchistów, pragnących pociąć Rafaela na sienniki dla biednych położnic, wbrew twierdzeniom „uczonej“ Róży Luksemburg, żadna „przepaść“ nie oddziela poglądów na sztukę uświadomionego (właśnie uświadomionego, byle nie umysłowego) proletaryatu od poglądów wielkich twórców i znawców sztuki. Proletaryat może, musi i powinien zmienić je do pewnego stopnia, uzupełnić, rozwinąć,

12 „Przedświtu“ z r. ub., z powodu zstąpień Róży Luksemburg z obłoków jej marksizmu do nauki i sztuki. Zaznaczyć tutaj mimochodem warto, że podobne myślenie, jakko wiek raz po raz dokonywa zgoła nadzwyczajnych odkryć, w gruncie rzeczy jednak nie ma nic wspólnego nietylko z jakąś istotnie nową i twórczą myślą, o którą wogóle niełatwo i której niesposób od publicystów żądać, ale jest też nawet najdalsze od realizmu socyalistycznego. W karykaturalności swojej przechodzi tak często w najczystszą scholastykę idealistyczną, gdzie ginie z oczu i praktyka życia i teorya jego, a jako jedyne zadanie i ideał pozostaje dociągnięcie faktów (chociażby przez fałszerstwo!) do pewnej apriorycznej zasady i wprawki w logice formalnej. Ma to w sobie głęboki i tragiczny komizm wiecznej studenteryi i zacietrzewienia i doprowadza oczywiście co chwila do potworności i niedorzeczności nie mniejszych od sporów o ilość aniołów, mogących się pomieścić na koniuszczku igły, albo o mysz, co zjadła święcony opłatek. W rzeczy samej, czyż „dobry“, jak go ktoś nazwał, prowokator Róży L., to nie jest taka mysz-szkodnica, która zjadła hostyę, a „zły“— taka, która łaski nie dostąpiła?...

tchnąć w nie nową moc sobie właściwą i dla nowego życia swego i ideału znaleźć nowe formy odwiecznego piękna, ale tylko bezmyślność może w przeszłości świata i w burżuazyi widzieć to jedynie, od czego proletaryat winien być w istocie przepaścią oddzielony i czemu kres położyć jest jego zadaniem.

Stosowanie punktu widzenia i sprawdzianów społecznych do dzieł sztuki, zwłaszcza literatury, która nas tu zajmuje, inne ma zgoła cele i inne zadania. I tylko całkowita świadomość ich może ustrzedz nas od śmiesznych bredni doktrynerstwa. Krytyka społecznikowska rozważa i ocenia w utworach literackich nietyle ich formę, artyzm, stanowisko w szeregu dzieł innych, wartość poetycką i inne tym podobne kwestye artystyczne, ile treść tych utworów, podłoże społeczne, z którego wyrosły i ich znaczenie dla życia społecznego i jego różnych prądów. Jej zadanie jest przeto *par excellence* praktyczne; jest ona pośrednikiem między dziedziną sztuki, a dziedziną życia i jego zmiennych potrzeb i ukształtowań. Przystępuje do dzieła nietyle od strony artysty i sztuki, ile od strony życia społeczeństwa, od strony wpływu, jaki dane dzieło wywiera na proces kształtowania się prądów zbiorowej świadomości. A chociaż zazwyczaj (lecz, niestety, nie zawsze) zdarza się, że utwory o wybitnem znaczeniu i wpływie społecznym są też zarazem niepospolitemi dziełami artyzmu, krytyka podobna, w przeciwieństwie do innych, zajmować się wszelako musi i utworami, gdzie forma artystyczna jest tylko nieudolną pokrywką tych czy innych tendencyj sztuce obcych, o ile tylko utwory te zdołają zaważyć na szali życia społecznego. Przez to staje się ona czemś w rodzaju fragmentów ze społecznego punktu widzenia pisanej, a przeto nie bezstronnej i nie bezpartyjnej, współczesnej historyi literatury, albo materyałów do niej. Zajmować się ona musi jednakowo „Weselem“ Wyspiańskiego lub nowelami Zycha, jak i fabrykantami wstecznych, lecz poczytnych i świadomość ogółu zatruwających ramot. A wykazywanie reakcyjnej (względnie postępowej) treści romansów Sienkiewicza i osłabianie (względnie wzmacnianie) jego wpływu, musi być dla niej, jak dzisiaj, ważniejszem od rozpraw nad Norwidem. Z punktu widzenia przeto sztuki i artyzmu zadania jej są bez zaprzeczenia skromne. Nie znaczy to jednak, by miały być podrzędne z punktu widzenia życia. Sztuka, a zwłaszcza literatura, zbyt jest poważnym czynnikiem w życiu dzisiejszych społeczeństw, aby nawet partye polityczne nie musiały się z nią zupełnie seryo liczyć. Zwłaszcza też w społeczeństwach pozbawionych wolności lub praw politycznych, gdzie, jak w zaborze rosyj-

skim lub w Rosyi, świadomość nie znajduje dla siebie ujścia w czynie, chyba nielegalnym, literatura urasta do rozmiarów czynnika pierwszorzędnej potęgi społecznej. Ścigana przez cenzurę, nabiera odrębnych cech i zabarwienia i staje się swoistym środkiem porozumienia i oddziaływania.

Oddawszy przeto cesarzowi, wedle słów Ewangelii, co jest cesarskiego, musimy oddać także i co boskiego — Bogu. A bogiem naszym jest życie ludzkości i niemasz nic ponad nie. Życia tego sztuka jest tylko jedną z dziedzin, i to nie najważniejszą, chociaż nieodłączną i może najgłębiej zwierciadlącą jego wciąż zmienny charakter. Ale że częścią jest tylko, więc jako część może i musi sądzoną być nietylko ze swego własnego stanowiska, ale i z punktu widzenia możliwie jak najszerzej pojętej całości dążeń i ideałów życia zbiorowego.

Tu — małe zastrzeżenie, ze strony społecznika może niezbyteczne. Twierdzenie powyższe nie znaczy bynajmniej, abyśmy pragnęli w jakikolwiek sposób krępować artystę. Komuż lepiej od nas wiadomo, że przymus i niewola jeszcze nigdy i nigdzie dotąd na nic się nie zdały, że jedynie złej sprawy bronić trzeba przemocą i gwałtem na wolnym duchu popełnionym [1]). Jest rzeczą oczywistą, że czego człowiekowi nie zdoła dać życie, tego też nie otrzyma, tego nie ma prawa żądać od artysty. Ale pozostawiając w ten sposób artyście całkowitą wolność, a nawet dowolność procesu twórczości, świat, społeczeństwo musi i sobie pozostawić prawo oceny dzieł artysty z punktu widzenia swoich dążeń i ukochań, potrzeb i ideałów. I jakkolwiek niesłusznem, obcem i zbytecznem może się to wydać artyście z punktu widzenia jego sztuki, krytyka taka dwojakie posiada usprawiedliwienie: przedewszystkiem punkt jej widzenia nie jest może bynajmniej aż tak ciasny, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło, a powtóre — i to jest wprost rozstrzygające — jeszcze żadna z krytyk w tym albo innym stopniu, pod tą albo inną pokrywką, tego punktu widzenia uniknąć nie zdołała. Nie jest on tak znów ciasny, gdyż właściwie wszystko, czem jest, co tworzy i przeżywa człowiek — to „zwierzę polityczne“ — jest aktem społecznym i ze społecznego stanowiska zawsze może być ujmowane. Nie należy tylko wpadać w doktrynerstwo i, będąc tak często jeno trupem ducha, udawać wszechwiedzące bóstwo i z wyżyny naiwności własnej, niezłomnie przekonanej o władaniu wszystkimi tajnikami bytu,

---

[1]) Na ciele, niestety, należy dziś jeszcze nieraz popełniać gwałty i dla dobrej sprawy.

ferować ogólnikowe zazwyczaj wyroki bez wartości zwłaszcza w dziedzinie artyzmu, — a nawet nie schodząc z gruntu społecznego, można bardzo wiele powiedzieć o sztuce. Jeżeli poszczególne momenty treści tworu artysty wyłuskać, zestawić, oświetlić i pokazać, pod kątem widzenia społecznym, który jest wszakże wszędzie w życiu najważniejszy i najistotniejszy, to kto wie, czy w ten sposób odtworzony obraz artysty nie będzie tak samo, albo nawet na niektórych punktach prawdziwszy i pełniejszy od tego, który może nam dać krytyka inna, czysto artystyczna, psychologiczna, filozoficzna i t. d. Tembardziej, że jakżeśmy mówili, społecznika interesują tylko ci pisarze, którzy na życiu społecznem warstw szerokich zaważyć zdołają, a więc w swej istocie mają coś wybitnie społecznego, choćby w odjemnem znaczeniu. — A zresztą, gdyby nawet z punktu widzenia sztuki krytyka taka była zupełnie bezpłodną, uniknąć jej nie sposób. Sztuka jest bodaj najgłębszym spontanicznym wyrazem naszego stosunku do życia i wszelkie sądy nasze o niej są zarazem sądami o życiu, a więc wprost czy pośrednio także i sądami o życiu społecznem. I dlatego to właśnie sztuka i krytyka w życiu tem tak wybitną odgrywają rolę, dlatego tak często są nadużywane do celów, z pięknem i sądami o niem nic lub niewiele mających wspólnego. Ktoby się chciał naocznie i niezbicie przekonać, do jakiego stopnia każdy, nawet rzekomo najmniej ze społecznym mający wspólnego punkt widzenia na sztukę, pozostaje w ścisłym i nieodłącznym związku z poglądami na całość życia społecznego, ten niech przeczyta, co o rewolucyi francuskiej pisał ongi w „Chimerze“ apostoł sztuki-absolutu i kapłaństwa — Miriam. A o tem, do jakiego stopnia burżuazya nadużywa krytyki do celów obcych sztuce, pisać chyba zbyteczne. Świadectwo artystów, których instynkt wolności codziennie protestuje przez zjadliwą satyrę zarówno przeciwko świętoszkom z prawicy, jak i niektórym doktrynerom lewicy, jest tu miarodajnem. Czyż więc nie lepiej, nie prościej, nie rzetelniej byłoby oddzielić od siebie te dziedziny, bezwątpienia związane ze sobą w ostatecznej jedności wszystkich faktów życia społecznego, ale o których związku zbyt mało jeszcze wiemy, aby operowanie nim, jako wielkością znaną, nie musiało się zawsze wyradzać w nadużycie, w doktrynerstwo albo świadomą obłudę? I pozostawiwszy nietendencyjnej i niefałszowanej krytyce artystycznej, psychologicznej, filozoficznej i t. d. ocenę sztuki z punktu widzenia jej samej i pod kątem wieczności (*sub specie aeterni*), czyli z punktu widzenia ciągłości rozwoju sztuki, jako sztuki, poprzez wszystkie przemiany życia społecznego i jej stosunku

do „przeklętych pytań“, krytyce społecznikowskiej powierzyć w zakresie powyżej wskazanym ocenę dzieł sztuki, zwłaszcza literatury, z punktu widzenia równie wiecznych i koniecznych zmian w strukturze i życiu społecznem ludzkości?

Rzecz prosta, iż, mówiąc o nietendencyjnej i niefałszowanej krytyce artystycznej, filozoficznej i t. d., rozumiemy dobrze, iż klasowość bezwiednie odbija się dzisiaj i na tych niezabarwionych ordynaryjną tendencyą ocenach, ale tę stronę sprawy możemy tu pominąć. Badanie jej należy do innej instancyi ogólno-teoretycznej, która ocenić też winna, ile i jakie sądy owej, dzisiejszej i wczorajszej, bezwiednie klasowością zabarwionej krytyki, wejść mogą i powinny do dorobku przyszłej ludzkości bezklasowej. Nam wystarcza świadomość, że zarówno jak w nauce, istnicją i w sztuce i poglądach na nią pierwiastki pozaklasowe, ogólno-narodowe i ogólno-ludzkie. Nawet najsocyalistyczniejszy człowiek przyszłego ustroju socyalistycznego będzie się uczył dwumianu Newtona, zachwycał Rafaelem, rozkoszował Homerem i, aby ich lepiej zrozumieć, czytywał choćby „Laokoona“ Lessinga. I tę właśnie dziedzinę, dziś jeszcze bezwiednie klasowemi poglądami przesiąkłą, a jednak samodzielną, należy zdaniem naszem oddzielić od świadomego rozpatrywania sztuki z punktu widzenia potrzeb i dążeń społecznych. Wszakże nie inaczej, jak z tego właśnie punktu widzenia klasowych interesów swoich, oceniają sztukę nieomal codziennie panowie krytycy z obozów zachowawczych i pseudo-postępowych; z wrodzoną obłudą, która jest bronią słabych, skrywają tytko właściwy sens swych ocen, zgoła obcych sztuce, za frazes „ideałów“. O ileż większe prawo mają przeto stanąć otwarcie na gruncie życia społecznego w ocenie dzieł sztuki ci, którzy to życie najszerzej pojmują, najgłębiej kochają i najdoskonalszem uczynić je pragną, uczynić je muszą.

A przeto nie jest wstydem, nie jest dowodem jakiejś niższości umysłowej, jak to w nas wmówić chcą artyści, estetycy, a zwłaszcza liczni w naszych czasach snobi, mieć społecznikowskie poglądy na sztukę: u społecznika jest to zupełnie naturalne, a nawet wprost konieczne. Wstydem jest dopiero posiadać społecznikowski pogląd na sztukę ciasny, tępy, doktrynerski, albo zamaskowany, nizki, faryzeuszowski — burżuazyjny słowem.

Joachim Waga.

Darwinizm wobec dzisiejszej wiedzy biologicznej[1]).

(Pięćdziesięciolecie teoryi doboru naturalnego).

Aczkolwiek socyalistyczny pogląd na determinizm i rozwój zjawisk społecznych powstał zupełnie niezależnie od darwinizmu i nic zeń poczerpnąć nie mógł, bowiem wyprzedził go nawet w czasie[2]) — umysł jednak ludzki w obronie ideologii i stanowisk społecznych, zwłaszcza uprzywilejowanych, goniący wiecznie za szatą jaknajbardziej „naukową“, chwycił się — rzecz prosta — tak głośnej, tak zdobywczej, a wkrótce tak powszechnie za „jedynie naukową“ uznanej teoryi, jaką od lat kilkudziesięciu jest darwinowski selekcyonizm ewolucyjny.

Biologowie i socyologowie, filozofowie i etycy, socyaliści walczący i zajadli obrońcy burżuazyjnej „wolnej“ konkurencyi, myśliciele głęboey i pisarkowie na łokcie prześcigali się w ciągu lat czterdziestu w wykazywaniu, że ich właśnie stanowisko w palącej i jątrzącej, groźnej lub radosnej kwestyi społecznej jest „jedynie zgodne z darwinizmem, więc jedynie naukowo uzasadnione“.

Cała ta polemika nic nas zgoła nie obchodzi. Uważamy ją za zupełnie chybioną i zbyteczną, bo do niczego absolutnie nie prowadzącą.

Błędem jest bowiem metodologicznym przenoszenie w całości i bez zastrzeżeń wyników rozumowań, a zwłaszcza konstrukcyj teoretycznych, jaką był i jest darwinizm, z jednej dziedziny wiedzy do innej, zupełnie odmiennej, zupełnie z tamtą niewspółmiernej, w danym razie z biologii do socyologii.

Że jednak, jako bojowników postępu, stan wiedzy ludzkiej nas blisko obchodzi, i że wielu pisarzy socyalistycznych,

---

[1]) Artykuł niniejszy został dla Przedświtu napisany i miał pojawić się w Nr. 7—8, jednak dla nawału kwestyj aktualnych musiał być odłożony, tymczasem zaś pojawił się w „Krytyce“ krakowskiej. Pomieszczamy go jednak i ze względu na znaczenie kwestyi, i dlatego, że w „Krytyce“ nie zostały wydrukowane pewne ustępy. *Red.*

[2]) Jak dobrze każdemu z nas wiadomo, „Manifest Komunistyczny“ datuje z roku 1847 (względnie 1848), gdy darwinowskie „Pochodzenie gatunków drogą doboru naturalnego“ pojawiło się dopiero w dwadzieścia lat później, więc równocześnie z tomem pierwszym „Kapitału“. Przeciwnie, to Darwin pogląd swój na musowe i celowe dla gatunku wymieranie słabszych, mniej przystosowanych i gorzej wyposażonych w walce o byt, zapożyczył, jak sam wyznaje, od rozgłośnej podówczas nauki Malthusa, o niewspółmiernym do środków spożywczych przyroście ludności („przeludnieniu“).

pośrednio lub bezpośrednio, zajmowało się kwestyą darwinizmu (że wspomnę tylko: L. Jacoby, P. Lafargue, A. Bebel, W. Liebknecht, K. Kautsky, H. Cunow, E. Bernstein, E. Ferri, L. Woltmann, A. Loria, A. Labriola i t. d.), uznaliśmy przeto za pożądane i niezbędne, w rok podwójnego[1]) jubileuszu Karola Darwina, poświęcić stron kilka „Przedświtu“ jego teoryi doboru naturalnego.

Nie będzie to „obchód“, na obraz i podobieństwo „obchodów“ sfer mieszczańsko-zachowawczych, które obchodzą zawsze zdaleka jądro kwestyi lub stan jej obecny, wiele natomiast i głośno mówiąc o przeszłym jej stanie i „zastosowaniach“. Będzie to raczej jubileuszowy pochód myśli żywej, jak obchód nasz majowy jest pochodem żywego czynu.

Wypaczeniem bowiem myśli geniusza i krzywdą, dziełu jego wyrządzaną, jest głosić jego system teoretyczny za ostateczny wynik wiedzy, za prawdę zupełną i skończoną. Myśl naukowa, jak świat, jak społeczeństwo, nie zna spoczynku, iść musi po stopniach zdobyczy geniuszów swych wciąż dalej i dalej, w drogę w nieskończoności omgleniu ginącą. Stan bezruchu dla niej to zastój, to śmierć.

Dlatego to Marks musiał zastrzedz się kategorycznie, że „marksistą nie jest“. I nie ubliżajmy pamięci Darwina „darwinistycznem“ traktowaniem wszystkiego na świecie i „darwinistycznym“ zastojem nauki o życiu.

Jedynie godnem święceniem uroczystości Darwina, będzie nie wygłaszanie pustobrzmiących pochwał jemu, uosobieniu prostoty i skromności, lecz zastanowienie się poważne i krytyczne nad współczesnym stanem wiedzy, którą ukochał czynem życia, i nad miejscem, jakie dziś w niej zajmuje jego teorya.

Rozważanie to z konieczności będzie bardzo, nazbyt zwięzłe i do wytycznych jedynie punktów ograniczone.

Stać będę, oczywista, na gruncie teoryi ewolucyjnej, bowiem ewolucyjny jedynie pogląd umożebnia nam dziś ogarnięcie całokształtu faktów, tak biologicznych, jak społecznych i kosmologicznych w system najprostszy, najłatwiejszy dla umysłu i najbardziej w konsekwencye myślowe i życiowe płodny. I to jest racya potężna, jak życie, dla której wiedza przyrodnicza, a w szczególności biologiczna, kwestyonować go dziś nie może, jakkolwiekbądź na ewolucyonizm patrzeć będzie ten lub ów filozof, w sferach abstrakcyi bytujący.

---

[1]) Stuletnia rocznica urodzin i pięćdziesięcioletnia teoryi.

Aleć ewolucyonizm darwinowski, to nie pogląd ewolucyjny wogóle, lecz pogląd zupełnie określony, orzekający wyraźnie i kategorycznie tryb i czynniki ewolucyi. Darwinizmem jest dopiero ewolucyonizm selekcyjny lub poprostu selekcyonizm, którego formuła, w jedno zdanie ujęta, brzmi: rozwój świata żyjącego odbywa się jedynie i wyłącznie[1]) drogą powolnego, lecz nigdy nie ustającego doboru naturalnego osobników, najlepiej wyposażonych w walce o byt, najlepiej przystosowanych do całokształtu współczesnych im warunków, innemi słowy, drogą mechanicznego doboru osobników, w których organizacyi i czynnościach zmienność naturalna, spontaniczna i bezkierunkowa ujawniła jakoweś drobniuchne, wypadkowo korzystne uchylenia, zapewniające im zwycięskie ostanie się przy życiu i wydanie potomstwa (ewentualnie dziedziczącego ich korzystne własności).

Nad tą formułą mamy się właśnie zastanowić; nad jej walorem, nad jej uprawnieniem w biologii dzisiejszej. U podstawy jej leży teza o właściwej organizmom zmienności drobnej, bezkierunkowej, i spontanicznie (wyraz Darwina) bez określonych przyczyn powstającej. Te zmiany organizacyi, które podlegać mają wysortowaniu przez dobór naturalny, mają być w myśl darwinizmu, zawsze nieznaczne, rzekłbym nieskończenie małe. Bowiem przypuszczenie możliwości zmian wybitnych, dajmy na to powstania jakiegoś narządu, którego przedtem nie było, lub jakiej postaci, bardzo różniącej się od rodzicielskiej, a zdolnej odrazu ostać się przy życiu — przypuszczenie takie podcinałoby teoryę doboru u podstawy, gdyż znaczyłoby, że przystosowane do życia, celowe ustroje powstawać mogą i bez doboru, bez segregującej walki o byt. Teorya doboru musi więc przyjąć tezę o nieskończenie małych zmianach; broniła też jej zajadle, nie dopuszczając myśli o możliwości innych zmian.

Tezę, mówię, nie fakt! bo z odważnem, a pełnem powagi wystąpieniem Hugona de Vries'a (botanika z Amsterdamu), faktem się stało dowiedzionym, że owe inne zmiany, odrazu znaczne, odrazu klasyfikacyjną nawet doniosłość mające, powstawać mogą i powstają istotnie, w pewnych przynajmniej tak zwanych „mutacyjnych“ okresach życia gatunkowego. Są to „mutacye“ w przeciwstawieniu do „waryacyj“ darwinowskich.

Fakt znamienny dla psychologii ludzkiej, która u t. zw. „uczonych“ mało się, niestety, różni od psychologii zwykłych

[1]) „Jedynie i wyłącznie“ mówię za skrajnym, właściwym darwinizmem (A. R. Wallace, A. Weismann, E. Haeckel i t. d.), bowiem darwinizm wprowadzający inne, choćby mniej ważne czynniki ewolucyi, przestaje być darwinizmem, bo przestaje być selekcyonizmem.

„laików“, że trzeba było dłoni de Vriesa, by zerwać bielmo z oczu badaczy, zuroczonych przez autorytet Darwina, a którzy teraz w rozmaitych grupach świata żyjącego poczęli znajdować wciąż nowe fakty zmian mutacyjnych, jak gdyby fakty te i w przyrodzie od de Vriesa dopiero początek wzięły. Tak więc, podstawowe założenie darwinizmu dziś już nie da się w swej obowiązującej sile utrzymać.

Też same fakty mutacyi zdają się kwestyonować i bezkierunkowość (lub raczej wszechkierunkowość) powstających zmian — założenie również organicznie z darwinizmem spojone. Bowiem gdyby zmiany u danego gatunku w danym całokształcie warunków kosmicznych miały jakiś kierunek określony, zanim dobór je wysegregował, wówczas na działanie doboru nie byłoby już miejsca; należałoby też logicznie szukać przyczyn owego określonego kierunku zmian. Dlatego to i wszechkierunkowość była koniecznym atrybutem zmienności darwinistycznej.

I tutaj znowu, z jednej strony stwierdzone dziś fakty „skokowych“ zmian mutacyjnych, z drugiej zaś wiele innych faktów, choćby naprzykład zjawiska bezpośredniego „rezonansu chromocynetycznego“ (Poulton, Minkiewicz) lub wyniki długoletnich studyów zmarłego Th. Eimera wraz z liczną szkołą nad ubarwieniem rozmaitych grup zwierzęcych, zdają się mówić wyraźnie, że zmienność w danej sferze cech organizacyi przejawia się wedle pewnych norm, dających się z góry przewidzieć. Gdzie źródła tych norm szukać: czy w immanentnych własnościach materyi żyjącej („ortogeneza“ Eimera, witalizm), czy też w stałym stosunku organizmu do pewnego trwałego całokształtu wpływów zewnętrznych („przystosowanie bezpośrednie“, lamarkizm), to rzecz inna, rzecz dalszego rozwoju wiedzy biologicznej. Wszelako pewnem jest dzisiaj, że owa zupełna nieokreśloność i wszechstronność powstających zmian organizacyi nie jest bynajmniej faktem, jeno założeniem z góry przez darwinizm powziętem, wymogiem logicznym całej jego apriorycznej konstrukcyi.

Świadomie czy bezwiednie, utożsamił darwinizm zmienność, jako możliwość idealną, ze zmiennością jako realnym faktem, każdorazowo, w pewnem pokoleniu istot, w pewnym całokształcie warunków zachodzącym. A to przecie dwie różne rzeczy. Jeśli pierwsza, w abstrakcyi jedynie istniejąca, jest, rzecz prosta, nieograniczoną i bezkierunkową, to czy taką jest owa druga, jedynie nas obchodząca, trzeba dowieść. Darwinizm do dziś dowodów nie złożył, właściwie nie szukał ich, przeświadczony o słuszności swego założenia, i pomieszanie pojęć przeoczywszy. Pomagał mu w tem trzeci postulowany atrybut zmienności, ściśle z tamtymi związany:

spontaniczność, co nie oznaczało u Darwina bezprzyczynowości, jeno powstawanie z drobnych, nieokreślonych, nie dających się dociec, zresztą zupełnie dla teoryi doboru obojętnych przyczyn.

Dlaczego obojętnych? spyta zdziwiony czytenik.

A dlatego, że skądkolwiekbądź i jakkolwiekbądź powstaną owe zmiany drobne a bezkierunkowe, w walce o byt ma znaczenie nie ich pochodzenie i przyczynowość, jeno wyłącznie ich utylitarność, ich użytkowość, ich wypadkowa większa odpowiedniość danym warunkom życia. Skądkolwiek i w jakibądź sposób powstała dodatnia (w znaczeniu użytkowym) cecha orgganizacyi, jednako będzie podchwycona przez nieusypnie czuwającą dłoń doboru naturalnego i zupełnie przypadkowo, mechanicznie stanie się drobniuchnym, niedostrzegalnym niemal lecz pewnym etapem ewolucyi.

Oto dotarliśmy do rdzenia darwinizmu, do kwestyi najistotniejszej i najbardziej dla psychologii jego charakterystycznej.

Zjawisko jedyne w swoim rodzaju!

O ewolucyę życia idzie. O ewolucyę istot żyjących. A otóż proces życia, proces naradzania się form nowych, proces ujawniania się zmian w istotach żyjących, nic nas nie obchodzi. Nic nie obchodzi ewolucyę. Nic na jej szali nie waży. Nie jest w niej żadnym motorem. Motor bowiem ewolucyi życia jest zgoła po za życiem. Proces ewolucyi życia jest po za procesem życia i ponad nim. Życie jest jeno materyałem, jeno tworzywem, nie twórcą ewolucyi życia. Twórcą ewolucyi jest traf ślepy, zbieg okoliczności, mechaniczna, przypadkowa użytkowość. Dla trafu tego, dla tego „Deus omnipotens" darwinizmu, wszelka zmiana postaci żyjącej jest oczywista spontaniczną, jako obca mu zupełnie, niewspółmierna z nim i niezależna od niego. Tak, niezależna. Bo jednakże temu „Deus omnipotens" stawia darwinizm ograniczenie: wzbrania mu możności wpływania na zmienność. Dlaczego? pytacie znowu zdziwieni. A dlatego, że gdyby dobór mógł wpływać na zmienność, gdyby mógł w następstwie określać i ustalać kierunek zmian, zniszczyłby sam siebie. Bowiem ustalone powstawanie zmian określonych wymagałoby, jakeśmy już widzieli, przyjęcia (i szukania) stałej i określonej przyczynowości i przeniesienia na nią punktu ciężkości procesu ewolucyjnego. I dlatego jeszcze, że raz ustalony kierunek zmienności, dostawszy się w warunki odmienne, do których przystosowany nie jest, wśród których przestał być użytkowym, spowodowałby niechybną śmierć gatunku w nieubłaganej walce o byt, w myśl właśnie teoryi doboru. Oczywista, że

dobór woli mieć w jednym zakresie odjętą moc działania, niż stracić panowanie całe.

By więc dobór miał moc ewolucyjną, trzeba było musowo postulować zmienność bezkierunkową i spontaniczną, nie ulegającą nawet doborowi, bo obcą mu zupełnie. Trzeba było musowo proces życia, proces zmienności oddzielić zupełnie od procesu ewolucyi tegoż życia, a i uznać go za spontaniczny, określonych norm i przyczyn nie mający, przeto obojętny.

Ale, jakeśmy widzieli, mnożą się fakty w biologii współczesnej, które kwestyonują poważnie i kategorycznie konieczność przyjęcia tezy o bezkierunkowych i nieskończenie małych zmianach. Wraz z tem kwestyonują i ich spontaniczność. Bowiem dla biologii dzisiejszej kwestya powstawania zmian w istotach żyjących bynajmniej obojętną nie jest. Nie jest jej obojętną przyczynowość zmian, ich determinizm podwójny, w immanentnych własnościach materyi żyjącej oraz w ustosunkowaniu ich do wpływów otoczenia siedlisko mający.

Współczesny umysł biologa wzdraga się na myśl pozostawienia na uboczu najistotniejszej w dziedzinie życia sprawy: samego procesu życia. Właśnie zbadanie, wyświetlenie, określenie tego procesu w niezliczonych, niewyczerpanych jego przejawach, celem jest i zadaniem biologii współczesnej. Celem, który nawet samą kwestyę ewolucyi na dalsze usuwa plany. Lecz skoro ją bada biologia dzisiejsza, motorów ewolucyi szuka nie po za procesem życia, jeno w nim samym i w zależności jego, pośredniej lub bezpośredniej, od całokształtu warunków kosmicznych. Wszystkie prawdziwie współczesne gałęzie biologii, od paru dziesiątków lat datujące lub powstające dopiero, jak „morfologia doświadczalna“ z „mechaniką rozwoju“, jak nowsza „fizyologia porównawcza“ w szerokiem słowa znaczeniu z „partenogenezą doświadczalną“, z fizyką i chemią biologiczną, jak „cytologia eksperymentalna“, na pierwotniakach operująca, lub na stwarzanych fizyko-chemicznych analogiach komórki żyjącej, jak wreszcie najnowsza t. zw. „psychologia porównawcza“ zwierząt niższych (Animal Behavior) z „tropizmami“, analizą fizyologiczną instynktu, z formowaniem się przyzwyczajeń i zależnością zachowania się zwierzęcia od stanu fizyologicznego organizmu i od wpływów otoczenia, obecnych i przeszłych, — wszystkie te iście współczesne, dzisiejszym wymaganiom odpowiadające, dzisiejszy kierunek wiedzy reprezentujące gałęzie biologii, tak właśnie cel i zadania swe pojmują, ku ujęciu i wyświetleniu samego procesu życia wysiłki swe zwracają.

Motory ewolucyi, o ile się nią zajmują, leżeć wedle nich muszą w samym procesie życia. Ewolucya życia może być jedynie przejawem procesu życia, bez ujęcia jego, bez wyświetlenia, bez zbadania innych jego przejawów, zbadaną, nakreśloną być nie może.

Rzecz jasna, że dla tak nastrojonej wiedzy współczesnej darwinizm, z jego obojętnością na to właśnie, co jest jej osią i nerwem, musiał stracić wartość naukową i interes. Cały szereg najistotniejszych i najbardziej palących zagadnień dzisiejszych pozostaje zupełnie po za zakresem jego dążeń i jego możności. Mnożą się fakty, dobrze ustalone i wszechstronnie, drogą zróżniczkowanych eksperymentów zbadane, a wręcz przeczące jego założeniom. Krytyka logiczna odmawia wartości całej konstrukcyi teoryi doboru, na tych założeniach opartej. Ciąży on jeszcze, jako tradycyjny nałóg myślowy, na umysłowości wielu badaczy, ale niezmiernie już licznym i coraz liczniejszym jest zastęp tych, co nie znalazłszy w nim treści żywotnej, odwracają się odeń zupełnie. Dla wielu zaś, i to z najwybitniejszych, fundatorów szkół licznych o kierunkach najbardziej rozbieżnych, jak jaskrawy mechanista[1]) J. Loeb, jak antyteza jego, zdeterminowany witalista H. Droesch, jak domagający się głębszych podstaw poznawczych, Kanta miłujący, J. Uexküll i t. d. — jest darwinizm już tylko bajką dziecinną.

Niesłusznem jest jednak i dziecinnem walić gromy przekleństw na Darwina za jego teoryę doboru. Niemądre jest uważanie jej za fakt ujemny, za zachwaszczenie wiedzy i zahamowanie jej rozwoju.

Jest ona faktem historycznym, tak samo koniecznym, tak samo nieuniknionym w powszechnym determinizmie dziejowym, jak wszelki inny fakt. Przygotowały grunt dobry dla niej manczesteryzm, teorye wolnego handlu i wolnej konkurencyi, cała wogóle ideologia, idącej wówczas przebojem, dobrze wyposażonej, dobrze do walki o byt przystosowanej, burżuazyi. Malthuzyanizm udzielił bezpośrednio punktu wyjścia. Dowodem równoczesne powstanie teoryi doboru w dwóch umysłach, tak bardzo odmiennych, jak Darwin i Wallace.

Umysłowość ówczesna dusiła się w ciasnych, nie odpowiadających potrzebom ramach pojęć o poszczególnych aktach twórczych ręki Bożej, o niezmienności gatunków i kataklizmach kosmicznych. Przeczuwała zdawna teoryę ewolucyi (Buffon i Goethe, Kant i Laplace, Erazm Darwin i Lamarck...).

---

[1]) W znaczeniu fizyko-chemicznem.

Wyciągała do niej ręce, jak do zbawczyni. Uwierzyć w nią nie miała sił i odwagi, bo dojrzeć nie mogła konkretnej drogi ewolucyi, motorów jej i procesu.

Geniusza Darwina trzeba było, aby utożsamiwszy ewolucyonizm z selekcyonizmem wykazać nietylko konieczność ewolucyi, lecz jej konkretną możność i potęgę twórczą. Jemu (i Marksowi) zawdzięcza ludzkość wejście w fazę ewolucyjnego myślenia, fazę konieczną i płodną.

Że dziś półwiekowy rozwój wiedzy biologicznej rozróżnił teoryę ewolucyi od teoryi doboru naturalnego, zaprzeczył założeniom tej ostatniej, odmówił jej wartości naukowej, i gdzieindziej szuka rozwiązania problematu ewolucyi, to jest w rzeczy porządku.

Wiedza w dalsze idzie etapy. Myśl ludzka w szlaki podąża wieczyste. *Romuald Minkiewicz.*

BIBLIOGRAFIA.

Józefa Katerli: „Róża — dramat niesceniczny"[1]).

Kraków, 1909. Spółka nakładowa „Książka".

Zaprawdę, nie sceniczny to dramat: nie z myślą o scenie pisany, — nie dla efektów teatralnych, — nie gwoli gustowi publiki, — nie dla poklasku tłumu i wypełnienia kasy, swojej i teatralnej. Życia to dramat polskiego. Duszy polskiej, krwią świeżą ociekłej, tragedya straszliwa, ujęta w słowo okrutne twórcy, wpatrzonego w nią nieustraszoną, wieczyście czujną, śmiertelnie zbolałą źrenicą.

Ze zgłębień otchłannych duszy polskiej płynie to słowo. Z przejrzenia nawskroś polskiego życia, — do najtajniejszych drgnień i poruszeń okutego w kajdany niemocy własnej i obcej niewoli, niewoli — symbolem jeno będącej, zewnętrznym jeno wykształtem, nieuniknionym jeno skutkiem swej pierwoprzyczyny: niemocy Ducha Narodu.

Bólem nabrzmiałe to Słowo serdecznym, umiłowaniem owiane czystem i wszechogarniającem, szyderstwem najeżone okrutnem, z ran duszy krwawiących natrząsającem się w szlochu obłąkanym. Z najczystszych wytrysło źródeł człowieczeństwa. Z dociekań prawdy myślą bezsenną... Z upragnienia wyzwolin... Z marzeń o przyszłości... Z Woli ofiarnej... Z męż-

---

[1]) W numerze następnym pomieścimy drugą ocenę epokowego dzieła Katerli, oświetlającą rzecz z innego punktu widzenia, równie, jak poniższy podzielanego przez pewną ilość towarzyszy. *Red.*

nego spełniania Kielicha Goryczy... Z wysiłków stężonych ku Mocy stworzeniu... Z łzy Chrystusowej nad nędzą ofiary... Z rozmów westchniennych z „Dajmonjonem“ duszy... Ta sama wyniosła je z piersi twórczej fala, na której grzbiecie sprężonym widzieliśmy byli już szereg kształtów, w dal wieczystej tęsknoty płynących: „Ludzie bezdomni“... „Z minionych dni“... „Jaskółka“... „Tułacze“... „Być albo nie być“... „Ludzie podziemni“... „Jutro“...

Jeno, że fala, która „Róży świętej kwiat nieśmiertelny“ [1]) oczom naszym zjawiła, bogatsza jest od tamtej, co „Ludzi bezdomnych“ smutną opowieść przyniosła, o cały niezmiar dziesięciu lat przeżyć, zgłębień i uświadomień, — omyła tysiąc ran świeżych, zawzięła trupów stosy z wydziobanemi przez „kruki“ złowieszcze oczyma, wypiła rzeki łez gorących, wchłonęła w kryształ swej toni wszystkie tęsknoty obłędne, wszystek ból i gorycz nieszczędnych zawodów, wszystek pot krwawy trudów „syzyfowych“ i wszystek żal serdeczny po snach w dym zaczadny rozwianych i po marzeniach, złożonych w „mogiłę“.

To też, gdy w „ludziach bezdomnych z minionych dni“ jeno kędyś na stronie, za kulisami akcyi, jeno gdzieś pod stopą, w suflera niewidzialnego ukryte budce, odbywały się te najdroższe sercu naszemu, te upragnione trudy krwawe twórców „nowego życia“, — tu, w tym „dramacie niescenicznym“ w samo zbolałe, bohaterskie serce „podziemnych i bezdomnych“ dzisiejszych schodzimy, w najciemniejszą tajń ich duszy, w cichy szept ich rozmów ukrytych z niemilknącym w nich nigdy Dajmonjonem, tym „prokuratorem, obrońcą, sędzią i katem własnego serca“, — schodzimy w nędzę najsroższą mocowań się ze sobą samym, z ludzkiem pragnieniem ukoju, z wampirem niedoścignionej miłości, z podcinającem siłę wszelką zwątpieniem, po daremnych walkach z przemocą zewnętrzną i gorszym od niej bezwładem i bezmyślą narodu, po strwonionych przez nieudolność, głupotę i niezgodę frakcyjną skarbach wiary i ofiarności ludowej, po bezowocnych wysiłkach syzyfowych skucia w Jedną Żywotną Całość rozłażących się i „rozkradanych“ na wsze strony zawiązków życia narodowo-politycznego i kultury przyszłościowej, ludowej, powszechnej...

Gdy w „Ludziach podziemnych“, „Tułaczach“, „Jutrze“ i nawet w „Jaskółce“ — zawarte są jeno momenty poszczególne, jeno fragmenty mniejsze lub większe, jeno chwile porywów wzniosłych lub upadania pod ciężarem krzyża na Golgotę naszą dźwiganego, jeno epizody zmagań się i walk,

---

[1]) Zestawione w jedno wyrazy autora.

jeno błyski obłędnego napięcia woli, i rozpaczy samotnej, i męki bezsilnej... to, w tym „Róży“ krzewie ciernistym — od mroźnej „zawiei“ jego początku do ognistej „piorunującej łuny“ końca, od wżartych w ziemię zmarzniętą, zgrabiałych palców korzeni do najwyższych gałązek, szkarłat nieśmiertelnego kwiatu niosących w ekstazie ku niebu — zaklęta dusza współczesna, biedna, prometejska dusza polska, w całej, nieogarnionej, drgającej w oczach naszych nagości ran, udręczeń bezprzykładnych, i niewymiernych, atlantyckich podźwignień. Pręży się w sobie mocarna, z żalu omdlewająca. Owija miłośnie ciało swe czyste dookoła krwawiących ją cierni, i wziąwszy je mężnie w siebie, niby życiodajne postrzały, schodzi słaniając się w głąb swoją, w „jaskinię wyolbrzymiałą, jak otworzelisko wielkiego oceanu“... Klęka tam cicha, skupiona, w obecności królującego tam wieczyście Bóstwa, i ziemię twardą kopie, warstwę po warstwie zrywa palcami, zdruzgotanymi kiedyś w „pręcikach“ katowskich, by pod ich powałą, „na dnie niedocieczonem“, wedle wskazówek Bóstwa odnaleźć „znicz“: „sen zaczarowany ludzkiego żywota“ — wolę twórczą, potęgę istotną, geniusz... i zniczem tym rozświetliwszy jaskinię, pójść w straszliwą wędrówkę po zapadliskach jej i wykrotach, w bój bezsenny z potworami Jawy, strzegącymi wyniesienia „snu“ na światło dzienne wcieleń społecznych.

Straszliwa to wędrówka. Osamotniały bój. Okrutne ciosy w pierś otwartą.

Nie ugnie się pierś pod żadnym już ciosem. Wzrok się nie cofnie przed żadnem spotkaniem. Przed żadnym potworem dusza nie zadrży.

Szła już wiek cały przez knieje rozpaczy...

Szarpały ją „kruki“ z trzech obcych stron świata i „wrony“ ścierwożerne rodzimej Targowicy... Krakały nad nią chichotem obmierzłym, gdy brnęła zmarznięta przez zaspy śniegowe dalekiej krainy sybirskiej, gdy potem gorącym zlewała się drżąca, przykuta „kajdanek“ pierścieniem wieczystym do ciężkiej taczki katorgi... Chmurą złowieszczą leciały ponad nią, gdy brnęła w San Domingo przez rzeki krwi niewinnej, gdy przywalona gruzem dymiącej Saragossy zgłuchła od hańbiących przekleństw iberyjskich guerillasów, gdy wlokła się legionów szlakiem poprzez wszystkie ziemie świata z oczyma w cień Ojczyzny wlepionemi nieruchomo... A „pozytywny realista“, udający posła prawdy, pluł jej w twarz męczeńską, i depcąc zgliszcza ukochane, w oczy łzawiące wdmuchywał „popioły“, w bydlęcej wołając uciesze, że ognia świętego pod nimi już niema...

A Ona wiek cały szła knieją rozpaczy. Dzisiaj przed żadnym nie cofnie się strachem.

Z „Bożyszcza“ dłoni władnej przyjęła swą czarę, i czarę tę spełni do końca. Po „Róży“ kwiat szkarłatny sięgnie, gdy z jaskini w świat wyniesie żywota sen „zaczarowany“. Duszy tej symbol i dziedzic „warneński“, patrzy Czarowic źrenicą niezlękłą w czasów dzisiejszych głuchą ciemnicę. Zniczem swej woli przeziera ją nawskroś.

* * *

...... Suną widma potworne — attylski mnogi huf.

Na czele Zdrada: hetmani buławą targowicką. Kędy nią skinie, rzucają się tłumnie, zemstą dyszący, łupu żądni i mordu. Mieni się, dwoi, pomnaża straszliwe Zdrady oblicze...

Oto jest niby „dyktator“ — „myśl nowoczesnych Polaków“, idący błagać Ministra o możność wrazić polski nóż w serce ludowe polskiej wolności...

Oto w czapeczce błazeńskiej, w łatanej masce Stańczyka, „logik“ warszawski — Ślaz, z „kiszki gumowej“ dzienników gaszący płomień „maligny“...

Oto jak Rząd pięciogłowy — „socyalistyczny kler“, z mędrców „marksowskich“ złożony, głoszący strejk wiekuisty, pchający w krwawy bój bezbronny polski lud [1]).

Oto w krytycznej, wielkiej chwili rozpryska się Zdrady oblicze w tysiąc „proroczych“ ust, w tysiąc „natchnionych“ par oczu, a każde usta złorzeczą wszem innym, a każde w odmienną wołają lud stronę...

Stargał się oporny lud. Wyniszczał w głodzie strejków. Postradał wiarę w wodzów myśl, w ich szczerość i powagę. Opadła mu wzniesiona dłoń. Na piersi zwisła głowa. Zwątpienie zmogło niemoc.

„Anzelma“ krąży duch. „Filorów“ rośnie koło. Attylski sunie huf, dyszący zemstą, żądny krwi.

. . . .

Przeciw nim, w samotny bój, idzie niezlękła dusza — Czarowic. Z mieczem „warneńskim“, wziętym z ręki Dajmonjona, słaniając się z bólu i ran, przedziera się niezłomna, przez głuchą jaskinię czasów dzisiejszych, w „zaczarowany“ wklęta „sen żywota“, ku dalekiemu celowi, nad którym w „łunie piorunującej“ unosi się „Róży“ kwiat nieśmiertelny.

---

[1]) Patrz wiekopomny manifest z d. 26 grudnia r. 1905, — straszliwe świadectwo mądrości politycznej, uświadomienia społecznego i poczucia odpowiedzialności wobec ludu i historyi, — wszechwładnej wówczas t. zw. „lewicy“ pepeesowej. (Nr. „Robotnika“ 68, także Nr. 66 z poprzednich). — Katerla wszystko wchłonął w duszę. Oczu na nic nie miał zamkniętych.

Zdąża bezstraszna......
Samotna.........
....
Co to?
Jakiś znajomy głos?!
Ach! to Montwiła okrzyk: „Niech żyje....!“
to hymn zapomniany Stefana Okrzei.....
to ślub Krystyny: — Ja nie zawiodę!.... „Gdy będziesz biegł w polach samotny, ścigany..... nasłuchuj!.... Ja nie zawiodę!“
to śpiew żołnierski Kopisia.....
to Osta wołanie: „do końca w honorze!“.....
to Grzesia odsiecz: — „A dy ja towarzysz“..... —
. . . .
— „Towarzyszu Grzesiu! Według rozkazu........“

Kazimierz Romin.

Polonus Viator. Kwestya polska wobec zbliżającego się konfliktu Austryi z Rosyą. Materyały i myśli do kwestyi polskiej. Tom I. Kraków 1909.

Autor niniejszej broszury wykazuje, że istniejący i stale pogłębiający się antagonizm Austryi i Rosyi musi doprowadzić do wojny dwóch tych państw. Wychodząc z tego założenia, Polonus Viator stara się przekonać ogół polityków polskich, że społeczeństwo nasze powinno skorzystać z zatargu austryacko-rosyjskiego, aby bądź zdobyć dla jak największej części zaboru rosyjskiego niezależność zupełną, bądź też zapewnić jej jaknajdalej idącą samodzielność. Skorzystać zaś z konfliktu rosyjsko-austryackiego potrafi tylko wówczas, jeśli wyjdzie ze stanu dotychczasowej bierności i rozpocznie energiczną, jaknajbardziej samodzielną walkę z Rosyą. Ażeby zaś ta walka z Rosyą przybrała pożądane rozmiary, koniecznem jest „skonsolidowanie opinii publicznej, wytworzenie jednolitego programu narodowego, uznanego przez większość tych, którzy wogóle zajmują się sprawami publicznemi. Dopiero wtedy, gdy we wszystkich warstwach społecznych znajdą się ludzie, mający określony i podobny pogląd na zadania nasze w chwili spodziewanego konfliktu, gdy, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej rozstrzygające w narodzie, partye ożywione będą wspólnemi chęciami — wtedy możebną stanie się planowa i rokująca nadzieję lepszej przyszłości praca“.

Taka jest myśl przewodnia broszury. I trzeba przyznać, że autor przeprowadził tę myśl bardzo konsekwentnie, popierając swe twierdzenia szeregiem trafnie dobranych i prze-

konywujących dowodów historycznych, ekonomicznych i taktyczno politycznych. Już samo poruszenie kwestyi, o których nasza publicystyka „narodowa“ zwykle milczy, uważając je wprost za nie nadające się do dyskusyi, musi być Polonusowi Viatorowi poczytane za zasługę. Istotnie, trzeba niemałego zapasu odwagi, aby w dobie rozpanoszenia się ugodowości i „neoslawizmu“ we wszystkich niemal partyach mówić o konieczności szykowania się do walki zbrojnej o usamodzielnienie Polski, o czynnem wmieszaniu się Polaków w zatarg między państwami zaborczemi, o bezmyślności straszenia społeczeństwa polskiego t. zw. „niebezpieczeństwem pruskiem“ i t. d. Dla nas argumenty autora broszury nie stanowią nic nowego, nasza bowiem partyjna publicystyka oddawna uświadomiła sobie tak konieczność walki zbrojnej z Rosyą, jak potrzebę wyzyskania odpowiedniej konjunktury politycznej, międzypaństwowej, jak wreszcie szkodliwość „neoslawizmu“ i bezmyślność straszaka pruskiego. Ale, co jest najciekawsze, to że autor broszury, jakkolwiek pragnie uwzględnić odezwania się różnych partyj w duchu jego wskazań politycznych, to jednak — dziwną ironią losu — może powołać się (o ile chodzi o fakty zupełnie konkretne i niedwuznaczne) tylko na nasze enuncyacye partyjne. Tam zaś, gdzie powołuje się na głosy publicystyki burżuazyjnej, musi cytować albo takiego „Kuryera Lwowskiego“, po za którym nie stoi żadna grupa polityków, działających w zaborze rosyjskim, albo też na głos „Słowa Polskiego“. To zaś ostatnie formułuje swe stanowisko w sposób tak perfidny, że z jego oświadczenia można tak samo dobrze wysnuć wniosek austrofilski, jak i rusofilski. Artykuł „Słowa Polskiego“, cytowany przez autora broszury, zawiera następujący frazes, który Polonus Viator uważa za enuncyacyę, będącą „symptomem bardziej trzeźwego odnoszenia się do potrzeb chwili od tego, co uzewnętrzniało się dawniej“. Frazes ten (pisany w przeddzień spodziewanej wojny austryacko-rosyjskiej) brzmi: „Polacy nie mogą skazać się na rolę biernego ciała w dowolnej grze interesów cudzych, stać ich na myśl jednolitą, obowiązującą wszystkie dzielnice, stać na pewne postanowienia, koordynujące nasze siły z czynnikami, jakie w danej chwili w grę wchodzą, w celu ulżenia swemu losowi i przyjścia z pomocą ewentualnemu sojusznikowi“. Otóż w przeddzień wojny rosyjsko-austryackiej można było przypuszczać, że owe „czynniki“ i ów „sojusznik“, które „Słowo Polskie“ miało na myśli, znajdują się po stronie austryackiej. Tymczasem dalsze kontynuowanie przez N. D. i jej kierowników polityki „neosłowiańskiej“ dowodzi, że tak samo dobrze mogła tu być mowa o Rosyi. I właśnie to przecenianie przy-

padkowych, nielicznych (i stojących w zupełnej sprzeczności z całą taktyką naszych partyj burżuazyjnych) głosów prasy jest najsłabszą stroną broszury Polonusa Viatora, która pozatem zawiera mnóstwo uwag cennych, które mogą być z korzyścią przeczytane i przez naszych towarzyszy partyjnych.

St. O.

Leon Wasilewski. Współczesna Słowiańszczyzna. Zarys etnograficzno-statystyczny. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1909.

Neoslawizm, który przez pewien czas zdawał się być pogrzebanym, podnosi znowu swe oblicze u nas, nie zrażając się wszystkimi objawami „miłości braterskiej", jakich nie szczędzi nam rząd rosyjski. Wobec tego rozpowszechnienie prawdziwych informacyj o Słowiańszczyznie, jej składzie, stosunku wzajemnym narodów, ją stanowiących, ich liczebność i t. p. — bardzo jest na czasie. Książeczka L. Wasilewskiego nie ma bynajmniej pretensyi do wyczerpania przedmiotu, daje jednak tę sumę wiadomości, która każdemu znana być powinna. Omówione są tam następujące narody: Polacy, Serbowie Łużyccy, Czesi, Słowacy, Serbo-Chorwaci, Słoweńcy, Bułgarzy, Białorusini, Ukraińcy, Rosyanie.

Informacye naogół zebrane są sumiennie, cyfry ludności obrachowane tak, by odpowiadały stanowi dzisiejszemu. Zarzucićby można tylko, że podawanie takich cyfr, jak 30 milionów Ukraińców, może wytworzyć w czytelnikach fałszywe wnioski o potędze tego narodu, szczególniej w zestawieniu z Rosyanami, którzy tylko dwa razy przewyższają ich liczbą nominalną, podczas gdy faktycznie tysiąc razy są silniejsi. Są i drobne usterki, jak nazywanie Bulgarów i Serbów „prawosławnymi" (str. 22), co może być pojęte dosłownie i wzbudzić mniemanie, że podlegają oni władzy rosyjskiego kościoła prawosławnego. Nie zmniejsza to bynajmniej wartości dziełka.

A. W.

Brunon Kostecki. Jak oni! Nakładem wydawnictwa „Życie" Kraków 1909. Cena 1 K. 50 h. Szereg nowelek z życia bojowców Frakcyi oraz P. P. S. przedrozłamowej.

Trzy „akcye" (prowokator, żandarm stacyjny i pociąg) oraz trzy obrazki więzienne (Grün, Ochrana warszawska, ucieczka z więzienia lubelskiego). Wszystko ma dwie niemałoważne zalety: że jest wzięte bezpośrednio z życia i tchnie prawdą, której najsumienniejsze nawet powtarzanie cudzych opowiadań nie zwykło zawierać, oraz, że brak w tem przesady, psującej nieraz wrażenie opisu rzeczy, która sama przez się jest wstrząsająca. Najsłabszem jest może pierwsze opowiadanie (Jak oni!), gdyż zawiera epizody i uwagi, które z korzyścią dla treści mogłyby być pominięte. Ale już następne

(Prowokator) wynagradza nam to. Przy swem oznajomieniu z tematem i umiejętności obrazowania, autor mógłby z pożytkiem pracować dalej na tem polu. *A. W.*

J. Keir Hardie. India, impressions and suggestions. I. L. P. Londyn 1909.

Zamach, dokonany przez studenta indyjskiego na wyższym urzędniku angielskim, w samym Londynie, zwrócił uwagę świata całego na największą kolonię, jaką kiedykolwiek jakiemu narodowi podbić się udało — Indye. Jednocześnie prawie wydana została przez „Niezależną Partyę Pracy“ angielską (I. L. P.) książka jednego z jej kierowników, tow. Keir Hardiego, zawierająca ciekawe „wrażenia i wnioski“ z podróży po Indyach, będącej swego rodzaju wywiadem socyalistycznym w obozie wroga i z tego względu zasługującej na uwagę.

Danych o ruchu rewolucyjnym, szerzącym się obecnie w Indyach, nie znajdziemy u K. H.; przeciwnie, stara się on uspokoić angielską opinię publiczną i raczej bagatelizuje przejawy niezadowolenia u Indusów, w — szlachetnym zresztą — zamiarze wytłómaczenia ich. K. H. jest tego zdania, że zasadniczej niechęci do Anglii niema u Indusów; nikt, zdaniem jego, nie myśli o oderwaniu kolonii od metropolii i uczynienia z niej państwa niezależnego, a jedynem dążeniem Indusów jest uzyskanie równouprawnienia z Anglikami oraz samorządu takiego, jakim cieszą się inne kolonie angielskie — Przylądek Dobrej Nadziei, Australia i t. p.

Co zaś zobrazowane jest bardzo dobitnie i plastycznie, to przyczyny niezadowolenia Indusów. Są one dwojakiej natury. Z jednej strony Indye rujnowane są systematycznie przez Anglię: podatki rosną z rokiem każdym, są one używane na utrzymanie chmary urzędników angielskich, pobierających olbrzymie pensye, oraz emerytów, którzy wszyscy wracają do Anglii i tam spożywają owoce pracy ludu indyjskiego; drugą pompą, ssącą kapitał z Indyj, są przedsiębiorstwa akcyjne, mające swą siedzibę w Anglii. W ten sposób Indye, systematycznie ogałacane z pieniędzy, biednieją coraz bardziej, a stan ludu, pomimo braku dawnych wojen i napadów łupieskich, gorszy jest, niż za rządów mongolskich w w. XVIII. Doszło do tego, że przeciętny roczny dochód na głowę ludności wynosi 20 rubli na rok (Rosya — 110 rb., Niemcy 220 rb., Francya 390 rb., Anglia 420 rb.), a pożywienie dziecka, uczęszczającego do szkoły (czyli względnie zamożnego), nie zadowolniłoby kanarka angielskiego. Obok ruiny ekonomicznej panoszy się dotąd ucisk polityczny: biurokracya rządzi niepodzielnie, ludność miejscowa tworzy tylko

gdzieniegdzie rady z głosem doradczym, wszystkie wyższe urzędy zarezerwowane są dla Anglików.

Drugą przyczyną wreszcie jest upośledzenie towarzyskie. Anglik w Indyach nietylko nie dopuszcza tubylca, choćby najbogatszego, do żadnego klubu, stowarzyszenia, do stosunków osobistych z sobą, ale nawet nie toleruje jego obecności w przedziale wagonu kolejowego. Autor opisuje, jak pewien wykształcony Indus, który studyował długie lata w Anglii i był ozdobiony różnemi odznaczeniami instytucyj naukowych, został zmuszony opuścić przedział I klasy, gdyż jakiś głupi angielski oficerek oświadczył, iż nie będzie jechał „z tym czarnym psem“. Łatwo sobie wystawić, jakie uczucia nagromadzają się w sercach „czarnych psów“ przy takich stosunkach.

Najlepszym argumentem za udzieleniem autonomii Indusom jest położenie indyjskich państewek hołdowniczych, które stanowią dotąd $^1/_5$ (około 60 milionów mieszkańców) półwyspu. Wykształcenie powszechne i obowiązujące, parlamenty, wysoka kultura rolna, oświetlenie w miastach — wszystko to wyróżnia korzystnie te prowincye od krajów, administrowanych przez Anglików.

Książka Keir Hardiego ciekawa jest dla nas jeszcze z jednego względu: pokazuje ona, jak odnosi się socyalista prawdziwie kulturalnego narodu panującego do ludu podbitego. K. H. wyzwolił się zupełnie z pod działania przesądów, systematycznie wpajanych w młodzież angielską przez szkołę i niezliczone dzieła, rozwijające myśl, iż Anglia nie może istnieć bez panowania — i to nieograniczonego — nad Indyami. Dodajmy, że nie jest on jedynym obrońcą Indusów. Kierownik drugiego odłamu socyalistów angielskich (Partyi Socyalno Demokratycznej) Hyndman doszedł do podobnych wniosków w paru ciekawych dziełach, które napisał jeszcze przed 25 laty. Idzie on nawet dalej — żąda zupełnego wyzwolenia Indyj. Poglądy tych dwóch działaczów podzielane są przez wszystkich bez wyjątku socyalistów angielskich i gdyby im kto powtórzył, w jaki sposób odnoszą się np. esdecy rosyjscy do potrzeb narodowych polskich, to nie chcieliby temu uwierzyć. *A. Wroński.*

Erazm Piltz. Polityka rosyjska w Polsce. List otwarty do kierowników polityki rosyjskiej. Warszawa 1909.

Za najgorszych czasów rozpasania szlacheckiego we Francyi przedrewolucyjnej przebywał w Paryżu niejaki markiz de Sade, którego nazwisko i czyny stały się niejako symbolem upadku społeczeństwa ówczesnego. Gdy nadeszły dni rewolucyjne, człowiek ten ukrył się w najbardziej zacisznych uliczkach stolicy i wegetował tam, ożywiony jedną

tylko myślą — jakby ukryć swe istnienie przed oczami bliźnich. Ale wróciła reakcya, głowa Robespiera spadła z szafotu, i oto p. de Sade zaczyna naprzód wychylać swój łeb z pomroku, potem pojawia się publicznie, a wkrótce zostaje dopuszczony do „towarzystwa“, które udaje, że zapomniało o wszystkiem, co na jego konto przed paru laty jeszcze było głoszone.

Coś podobnego dzieje się z p. Piltzem. Przez dłuższy przeciąg czasu nie było o nim wcale słychać. Dziś wychodzi on znowu na widownię polityczną, a co lepsze, to że ci, którzy jeszcze przed wojną zarzucali mu w zagranicznych broszurach kradzieże i t. p. czyny, teraz ściskają mu dłonie i współdziałają z nim w „Delegacyi obywatelskiej“.

I oto mamy przed sobą nowy twór pióra tego prawdziwego koryfeusza i przedstawiciela ugody, list otwarty, skierowany do ciemięzców narodu naszego. Cel tego dziełka jest ten sam, jak i wszystkich przedrewolucyjnych wydawnictw ugodowych: przekonać bandę łapowników, złodziei grosza publicznego, często zwykłych kryminalistów, rządzących nami — 1) że nam lepiej będzie, gdy oni przestaną nas uciskać, 2) że nasze niezadowolenie wynika tylko z ucisku, przez nich praktykowanego. Jak gdyby tych panów i dobro nasze i nawet losy całego państwa rosyjskiego mogły cośkolwiek obchodzić!

Dla p. P. i jego przyjaciół powstania, spiski, wogóle nienawiść do systemu rządów rosyjskich nie są wynikami pewnych potrzeb narodu czy jego oddzielnych warstw, ale przykremi nieporozumieniami, których Rosya uniknąćby mogła, gdyby tylko zechciała. Na tle podobnych poglądów rodziły się dawniej wszystkie te bezmyślne bajdy o podsycaniu przez rząd rosyjski polskiego ruchu rewolucyjnego, gawędy kumoszek o „ajentach pruskich“ i t. p. Dziś tego wszystkiego jest mniej, wykształcenie polityczne narodu wzrosło, ale tło myśli ugodowej pozostało stare.

Po za tem „List otwarty“, jak i inne utwory p. Piltza, podaje pewien materyał faktyczny o nadużyciach administracyi rosyjskiej, niezbyt obfity, ale godny zapamiętania. Tyczy się to zwłaszcza szkolnictwa. *W.*

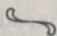
LUŹNE NOTATKI.

Nowa grupa społeczna. ▣ Strejk powszechny szwedzki. — Finlandya. — Litwa.

Nowa grupa polityczna. Żałosne kwilenie osiadłych na mieliznie naszych byłych towarzyszy z P. P. S., obecnie bez skutku kołaczących do drzwi „S. D. K. P. i L.“ wzruszyło serca ob. K. Zalewskiego i Wł. Olbromskiego. Złożyli się oni zatem na numerek pisma („Solidarność

Robotnicza", Nr. 1, lipiec 1909, Paryż), w którem oznajmiają, że są zasadniczymi „przeciwnikami rozłamu, niesnasek, dezorganizacyi" i dlatego... zaczną odtąd warcholić w łonie S. D. K. P., zwalczając jej kierownictwo za to, że nie chce złączyć się z „Frakcyą Umiarkowaną P. P. S.". Powiadają oni, że i na nich „te trzy litery: P. P. S. — sprawiają jeszcze przykre wrażenie", ale „dziś lewica jest całkiem inną, niż dawna P. P. S.". Ponieważ zaś sytuacya jest groźną, gdyż lada chwila burżuazya (oczywiście rosyjska) i szlachta rozpoczną z sobą homeryczny, a mający wyzwolić „Rosyę" bój, więc — trzeba „łączyć siły", choćby one były tylko bezsilnościami.

Więcej nic tam niema, oprócz paru powtórzonych z „Czerwonego Sztandaru" wymyślań w stronę naszą. I jeżeli dodamy, że na tego ob. K. Zalewskiego główny organ S. D. K. P. wylewa systematycznie kubły pomyj, zarzucając mu kłamstwo, warcholenie i t. p. — to nie możemy wróżyć wielkiego powodzenia imprezie redakcyi „Sd. Rob.". A szkoda, gdyż stały upadek S. D. K. P. i zanik Frakcyi Umiarkowanej powinnyby pouczyć obie te grupy, że czas zejść z Parnasu „jedynych przedstawicieli proletaryatu" i połączyć się.



Strejk powszechny w Szwecyi jest nader charakterystycznym przejawem walki między kapitałem a pracą, wśród nowych form organizacyjnych. Kraje skandynawskie, które, wśród zaburzeń politycznych ostatniego dziesięciolecia, niosących wojnę, rewolucyę lub zakłócających bodaj pokój przedwojennym nastrojem, pozostały na uboczu, rozwinęły u siebie w tymże czasie innego rodzaju organizacye wojenne o doskonałej sprawności. Nikłe pierwej stowarzyszenia zawodowe złączyły się tu w ostatniem dziesięcioleciu właśnie w związki ogólno krajowe, kierujące w jednolity sposób agitacyą i całem życiem zawodowem. Wysoko rozwinięta oświata ludowa stworzyła podatny grunt pod pracę uświadamiającą i rzucona w masy myśl walki w zadziwiająco krótkim czasie sprowadziła ogromne odłamy robotnicze do organizujących walkę stowarzyszeń. Podczas gdy liczba zorganizowanych robotników wynosi w Anglii 22%, w Niemczech 20%, w Szwajcaryi 19% ogółu najmitów, dzięki usilnej pracy krajowych związków w paru latach przystąpiło do stow. zaw. w Danii 58%, w Szwecyi 44% ogółu robotników. Między rokiem 1898 a 1908 szczupła liczba 50 tys. zorganizowanych w Szwecyi narosła do cyfry 260 tys. zorganizowanych, świadomych swych praw, dopominających się o lepsze warunki bytu.

Zawrzała teraz walka, chłodna, zacięta, a w każdym swym ruchu zdradzająca całą głębię niezatartych przeciwieństw, dzielących obie strony. Nagleni postępem organizacyj robotniczych, przedsiębiorcy złączyli się też w centralne organizacye, które, zadawalniając się z początku odpieraniem naporu, z nadejściem kryzysu przeszły do zaczepnej pozycyi. Ofiarą miał paść przedewszystkiem znienawidzony ogólnokrajowy związek stow. zawodowych. Robotnikom, którzy stanęli w obronie swych swobód obywatelskich, w obronie prawa koalicyi, zagrożono lokautem. Na groźbę tę, która rzucić miała z dniem 2 sierpnia 80 tysięcy robotników na bruk, odpowiedział związek rob. groźbą strejku powszechnego. Miasto dać się zgnębić częściowem, długotrwałem wygładzaniem, woleli robotnicy wszcząć odrazu ostrą walkę na całej linii. Obie strony wykonały swą groźbę: od dnia 4 sierpnia rzuciło pracę przeszło 350 tysięcy robotników! Przedsiębiorcom przyszły z pomocą banki, dając im milionową pożyczkę, robotnikom bracia-towarzysze i własna gotowość do ofiarnej walki. Powtórzył się obraz

znany nam w zewnętrznych rysach już z walki o prawo wyborcze w Belgii i w Austryi, ale treść miał tym razem odmienną zgoła! Po raz pierwszy rzucili tu bowiem robotnicy pracę w obronie swej organizacyi, w walce ekonomicznej, po raz pierwszy strejk powszechny stał się bronią w walce nie z rządem, lecz z zorganizowanym kapitałem. A walka ta, jakikolwiek będzie jej wynik, nie będzie ostatnią na pewno. Raptowny wzrost organizacyj klasowych na północy każe nam się spodziewać, że te tytaniczne zapasy, których jesteśmy teraz świadkami, nie zejdą już tam z porządku dziennego, że kraje skandynawskie będą może właśnie miejscem, gdzie ludność robotnicza, niezależnie od międzynarodowej sytuacyi, własnemi siłami zdobędzie lepszą przyszłość. Strejk ten — to tylko przygrywka do dalszych — a może nie tak pokojowych. *H. L.*

Finlandya. Czarnosecinne gazety rosyjskie wciąż denuncyują Finlandyę, wskazując, że nie rozwiązała ona bynajmniej swej organizacyi zbrojnej, a nadaje jej tylko coraz to inne nazwy, aby umożliwić jej legalne istnienie. Organizacya ta, zbrojna w karabiny, odbywa rzekomo ciągłe ćwiczenia i za pomocą okólników oraz objazdów utrzymywana jest przez kierowników w gotowości wojennej.

Obok tej bojówki istnieje organizacya socyalistyczna, rozwijająca się tak szybko, jak rzadko gdzie na świecie. Nie omylimy się zapewne, jeżeli przypuścimy, że na ten szybki wzrost wpływa położenie kraju, zagrożonego w swych swobodach przez despotyzm carski. Gra też swoją rolę bardzo wysoki stopień kultury. Finlandya jest krajem, posiadającym jeden z najniższych procentów analfabetów w świecie i to pomimo istnienia tam dotąd plemion koczujących — Lapończyków. I ten fakt ciekawy jest dla nas, którzy pamiętamy jeszcze czasy, kiedy to nasi domorośli anarchiści (esdecy) powstrzymywali robotników od wstępowania do „burżuazyjnej“ Macierzy (umożliwiając w ten sposób zagarnięcie tej organizacyi przez Narodową Demokracyę), do „Uniwersytetu dla Wszystkich“ i t. p.

Na 2,900.000 mieszkańców Finlandya liczy obecnie 100.000 członków partyi socyalistycznej, regularnie zorganizowanych w stowarzyszenia. Przy tym samym stosunku Niemcy powinnyby mieć (na 63 miliony mieszkańców) — 2,100.000 członków partyi, podczas gdy jest ich w rzeczywistości tylko przeszło pół miliona. Inne państwa tem mniej wytrzymałyby z Finlandyą porównanie.

Dochody partyi wynoszą 2,500.000 marek fińskich (1 milion rubli) rocznie. Posiada ona 226 własnych domów, 40 pism, podczas wyborów padło na kandydatów socyalistycznych 336.000 głosów (40% ogółu). Organizacya zawodowa rozwija się, ale jest daleko mniej liczną od politycznej, co wskazuje też, jak ścisły związek istnieje między stanem kraju, a rozwojem ruchu.

Nic dziwnego, że Rosya waha się przed nałożeniem swej łapy na ten drobny, ale tak doskonale przygotowany do walki ludek!

Litwa. Zwracaliśmy nieraz uwagę na smutne skutki, jakie wynikły dla proletaryatu polskiego z powodu zerwania związku między polską organizacyą socyalistyczną na Litwie i w ziemiach polskich. Lud polski na Litwie wydany został na pastwę endeków i klerykałów, którzy rozbijają tam owoc dawnej kilkunastoletniej pracy P. P. S. Świeżo dowiadujemy się o fakcie, który potwierdza zdanie nasze. W Kownie organizacya socyalistyczna zanikła zupełnie. Natomiast króluje tam niepodzielnie wśród proletaryatu polskiego ksiądz Olszewski, który organizuje robotników w klerykalnych stowarzyszeniach i daleko lepiej od Ochrany powstrzymuje ich od walki o po-

prawę swego losu. Napełnił on fabryki dobrowolnymi szpiegami, którzy, gdy wyśledzą, że który z ich towarzyszy pracy ma przekonania socyalistyczne, chwytają go, katują i niosą do policyi, która dalej to dzieło prowadzi. Nielepsze stosunki panują w innych miejscowościach.

Książki, nadesłane do Redakcyi:

P r o t o k o ł y pierwoj obszczepartijnoj konferencii P. S. R. Izdanie C. K. Partii Socyalistow Rewolucyonierow. Paryż 1909.

E r a z m P i l t z. Polityka rosyjska w Polsce. List otwarty do kierowników polityki rosyjskiej. Warszawa 1909.

S o l i d a r n o ś ć R o b o t n i c z a, pismo socyaldemokratyczne. N. 1. Paryż, lipiec 1909.

I l u s t r o w a n y p r z e w o d n i k p o B r a z y l i i, ze słowniczkiem polsko-portugalskim i mapką Parany i Ameryki Południowej. Kraków 1909. Nakładem Polskiego Tow. Emigracyjnego.

Katalog bezpłatnej wypożyczalni książek Polsk. Tow. Emigr. Kraków 1909.

„C a r s k i j L i s t o k“, (po rosyjsku). Raporty ministra spraw wewnętrznych, składane Mikołajowi II za r. 1897, z artykułem Wł. B u r c e w a. Wydanie redakcyi „Byłoje“. Paryż 1909. Cena 2 fr.

P o l o n u s V i a t o r. Kwestya polska wobec zbliżającego się konfliktu Austryi z Rosyą. Kraków 1909.

M i c h a ł S o k o l n i c k i. Wojna roku 1809. Nakładem T. S. L. Kraków 1910.

Pokwitowania Komitetu Zagranicznego P.P.S.F.R.

za czas od 23/VI do 24/VII 1909.

Podatek partyjny: Kraków — 13 kor. 16 hal. i 12 kor. 60 hal.; Kraków Wł. Uz. — 2 kor.; Londyn sekcya — 7 kor. 22 hal.; Kopenhaga Ed. S. — 69 hal.; Orłowa — 68 hal. i 5 kor.; Praga — 5 kor.; Nesselsdorf S. M. — 2 kor.; Zurych sekcya — 5 kor. 94 hal.

Składki rewolucyjne: Kraków Bohdan różnica kursu — 2 kor. 27 hal. oraz Tow. z S. D. na walkę czynną — 1 kor.; Zurych na nową druk. l. nr 12 — 37 kor. 60 hal.; Genewa sekcya na fund. part. — 4 kor.; Karwin J. Z. na nową druk. l. nr 54 — 3 kor.; Chicago Fr. Berent na nową druk. l. nr 34 — 6 dol. 25 c. t. j. 30 kor. 50 hal.; Baltimore Fr. Wiśniowiecki na nową druk. l. nr 34 — 3 dol. 50 c. t. j. 16 kor. 82 hal.; New-York Al. Dębski na nową druk. — 5 dol. t. j. 24 kor. 69 hal.; Z. — wieczorek — 1.434 kor. 20 hal.

Na więźniów i emigrantów: Londyn na więźniów z puszki — 3 kor. 81 hal.; Kraków Al. Wroń. połowa należności za szafy — 64 kor.

Zeszyt 6 „Krytyki“ za r. 1909

zawiera treść następującą:

Część pierwsza: 1. (f): O człowieka. 2. J. Kwiatek: Pisma Słowackiego treści ideowo-politycznej. 3. Ludwik Kulczycki: Legendy luksemburskie. 4. K. Stefański: Niepodległość Polski. 5. Junius: Współcześni politycy polscy. VII. Wł. Żukowski. 6. Prof. J. Baudouin de Courtenay: Epidemia krwiożerczości. Przegląd: I. Z prasy. II. Dr. Z. D. G.: Przegląd ekon.-społeczny. III. H. Orsza: Z ruchu oświatowego. IV. Junius: Z trzech zaborów. (Obecny stan polityki narodowo-demokratycznej). 7. Sprawozdania literackie.

Część druga: 1. St. Przybyszewski: Kartki z powieści. 2. K. Błeszyński: Debiuty nowelistyczne. 3. Józef Strasz: Trzy dyalogi. 4. M. Rakowska: List angielski. 5. St. Maykowski: Z cyklu „Wrzosowisko“. 6. Marion: Kocham. Przegląd: I. J. Kleczyński: Słowacki w Warszawie. II. L. Kowalski: Ze sztuki i „Sztuki“. III. Masque: Teatr poznański. IV. L. K.: Z Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych. V. Tad. Bezimienny: Ze sztuki i z życia. VI. Kaëm: Echo lwowskie. 7. Sprawozdania: Nowe książki krytyczno-literackie. W. Feldman: Oświadczenie.

Prenumerata wynosi: W Austryi: rocznie 16 K, półrocznie 8 K, kwartalnie 4 K, pojed. K 1·50; za granicą: rocznie Mk. 16 lub fr. 20, półrocznie Mk. 8 lub 10 fr., kwartalnie Mk. 4 lub 5 fr., pojed. Mk. 1·50 lub 2·— fr.; w Król. i Rosyi: rocznie rb. 9·—, półrocznie rb. 4·80, kwartalnie rb. 2·40, w Warszawie kwart. 2·— rb., pojed. 85 kop.

Redakcya i administracya „Krytyki“: Kraków, ul. Stachowskiego 14.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tadeusz Bobrowski.